



ROBOTNIK POLSKI

W WIELKIEJ BRYTANII

Niech żyje rząd robotniczy i włościański!
Niech żyje Socjalizm!

"The POLISH WORKER
in Great Britain."
Sponsored by the Polish
Socialist Party (P.P.S.).

Redakcja i administracja —
Editorial and Business Offices :
8 Motcomb Street, London, S.W.1
Tel. : SLOane 0961.

Prenumerata kwartalna 4 s. 6 d.,
półroczna 9 s., roczna 18 s.

Ceny ogłoszeń podajemy na
żądanie. — Za treść ogłoszeń
redakcja nie odpowiada.

TRZY PYTANIA

W maju 1943 r. ogłoszono w Moskwie, iż Międzynarodówka Komunistyczna (t. zw. *Komintern*) przestała istnieć. Minęły cztery lata; we wrześniu 1947 r. powstało biuro informacyjne i koordynacyjne 9-ciu partii komunistycznych (t. zw. *Kominform*). W Moskwie zaprzeczono przypuszczeniu, iż nowe biuro jest tylko odrodzonym *Kominternem*; obaczmyż tedy sami, czy i jakie są różnice.

Pytanie pierwsze, jakie sobie stawiamy, brzmi: czy uległ zmianie zasadniczy stosunek komunistów do socjalistów?

Nie; deklaracja *Kominformu* tak mówi o socjalistach:

"... Odrębne miejsce w arsenale taktycznych środków imperialistów zajmuje wykorzystanie zdradzieckiej polityki prawicowych socjalistów... którzy dążą do ukrycia prawdziwej, grabieżczej istoty polityki imperialistycznej pod maską demokracji i frazeologii socjalistycznej, w rzeczywistości zaś są wiernymi poplecznikami imperialistów, wnoszącymi rozkład w szeregi klasy robotniczej, zatruwającymi jej świadomość. Nie jest przypadkiem, że polityka zagraniczna angielskiego imperializmu znalazła w osobie Bevena rzeczniczką najbardziej konsekwentnego i gorliwego... Przed wszystkim francuscy socjaliści i angielscy labourzyści — Ramadier, Blum, Attlee i Bevin swoją uległością ułatwiają amerykańskiemu kapitałowi realizowanie jego celów, zachęcają go do szantażu i spychają swoje kraje na drogę wasalnej zależności od Stanów Zjednoczonych Ameryki".

Nie można twierdzić, że są to słowa *uprzejme*, nie można również powiedzieć, by były zgodne z prawdą (n.p. dopiero co brytyjski rząd labourzystowski obdarzył Burmę całkowitą niepodległością). Pewne jest za to, że te kłamstwa i te obelgi pod adresem socjalistów nie są nowością. Sięgnijmy n.p. do manifestu *Międzynarodówki Komunistycznej na dzień 1 maja 1940 r.*, a więc wydanego w czasie, gdy socjaliści polscy, francuscy, angielscy stali w walce nieublaganej z niemieckimi podpalaczami świata. W takim to czasie, manifest *Kominternu* głosił:

"Brytyjscy i francuscy podszczerwacze wojenni i ich socjalno-demokratyczni pieczeniarze wciągają się na fakt, iż Związek Sowiecki zajmuje stanowisko neutralności wobec ich imperialistycznej wojny... Są oni wściekli, ponieważ ZSRR zapewnił dobrocią pokoju swym narodom i żyje w pokoju z Niemcami... Burżuazja, której niewolniczo wysługują się Blumowie, Jouhaux'owie, Attlee'owie, Citrine'owie, prowadzi szaloną ofensywę... na poziom życiowy ludu robotniczego... Proletariusze i ludu robotcy! Kto pomaga i pomaga burżuazji pozabawiać was i wasze dzieci ostatnią kruszynę chleba, dławic was reżymem burżuazyjnej dyktatury? Przewodcy socjalnej demokracji i reformistycznych związków zawodowych... Jak psy lańcuchowe, bronili systemu kapitalistycznego i bronią go i teraz... Oni to przyczynili się do wybuchu obecnej wojny. Bezwzględnie popierając obecną wojnę imperialistyczną, pomagają oni burżuazji zakuć lud w kajdany jeszcze gorsze niewoli!"

Tyle o socjalistach, a ni słowa o faszystach i hitlerowcach. Wszakże był to okres paktu przyjaźni Związku Sowieckiego z hitlerowskimi Niemcami. Widzimy zatem, że ataki na socjalistów i obelgi pod ich adresem oraz zarzut wysługiwanego się imperialistom nie są dla komunistów niczym nowym; ich obecny stosunek do socjalistów jest taki sam, jaki był w przeszłości — naprzykład w latach 1939-41 — to jest: *nienawistny i wrogi*.

Pytanie drugie: dlaczego więc deklaracja *Kominformu* przeprowadza rozróżnienie pomiędzy różnymi odmianami ruchu socjalistycznego?

Program *Międzynarodówki Komunistycznej*, uchwalony na jej VI-yim kongresie w lipcu 1928 r. stawiał bez żadnych rozróżnień zasadę: "głównym wrogiem rewolucji proletariackiej jest socjalna demokracja" (przez "rewolucję proletariacką" *Komintern* rozumiał t.zw. "dyktaturę proletariatu", sprawowaną przez partię komunistyczną.) *Zniszczenie całego ruchu socjalistycznego było nie ukrywaniem nigdy celem partii komunistycznych.*

W miesięczniku "The Communist International" z października 1940 r. sprawa została postawiona z całą otwartością (w artykule F. Fürberga "Zagadnienia jedności klasy robotniczej"):

"Doświadczenie wykazało, iż socjal-demokratyzm jest źródłem wszelkiego zła w ruchu klasy robotniczej i musi być wyteplony, jeśli klasa robotnicza nie ma dożyć jeszcze gorszego roku 1918... Wyteplenie socjal-demokratyzmu wśród klasy robotniczej i wpojenie marksizmu-leninizmu, to dwa aspekty tego samego zagadnienia".

Jasno, niedwuznacznie i bez wyjątków. Inaczej jest w r. 1947; deklaracja *Kominformu* zna już wyjątek. Tylko "prawicowych" socjalistów piętnuje ona mianem "zdrajców", wyodrębnia zaś socjalistów "lewicowych". Są to socjaliści w krajach tak zwanej "nowej demokracji".

"gdzie blok komunistów i socjalistów z innymi postępowymi partiami demokratycznymi tworzy trzon oporu tych krajów wobec imperialistycznych planów"...

... amerykańskich, oczywiście. I to właśnie w rozumieniu deklaracji *Kominformu* jest jedynym kryterium "lewicowości" wewnątrz ruchu socjalistycznego. Świat, wedle referatu Zdanowa, podzielił się na dwa olbrzymie obozy: główną siłą kierowniczą jednego z nich są Stany Zjednoczone Ameryki, trzonem drugiego jest ZSRR i kraje "nowej demokracji". Tylko ci socjaliści, którzy zablokowali się z komunistami i podporządkowali się interesom ZSRR, zasługują na miano "lewicowych"; wszyscy inni w krótkiej drodze uznani zostali za "zdrajców".

Jak widzimy, deklaracja *Kominformu* wystawia reżymowym partiom socjalistycznym w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii i Bułgarii "świadectwo moralności". Zostało ono w lot ocenione i pokwitowane przez kierownicze elementy rządowej PPS, n.p. w takim zapewnieniu Cwika:

"Będziemy nieugięcie zwalczać pravicę socjalistyczną, która niczego się nie nauczyła, która powtarza błędy dawnych lat, która nie ma już nic wspólnego z socjalizmem".

Tak powiada Cwik — gorliwiec, a Hochfeld — zgodnie z zapowiedzią Cyran-kiewicza, rzuconą w Poznaniu jeszcze dnia 31 sierpnia b.r. — rozwija w "Robotniku" warszawskim plany walki o "jednolity front" już w skali światowej. Soc-

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

jalizm międzynarodowy — dekretuje Hochfeld — "odrodzić się może tylko na gruncie założeń socjalistycznej lewicy; to, co pozostanie poza jednolitym frontem — przestanie też być socjalizmem." Ostatecznie, to samo głosi *Kominform*.

Taka jest zatem zmiana w porównaniu z dawniejszymi laty: Socjaliści t.zw. "lewicowi" zostali w krajach satelickich ZSRR wprzagnięci do wspólnego z komunistami bloku zwroconego przeciw socjalistom t.zw. "prawicowym", głównie brytyjskim i francuskim, także włoskim (z partii Saragata) i austriackim. Proces ten nie został jeszcze zakończony, jeszcze trwają opory w Czechosłowacji i na Węgrzech, jeszcze nawet Hochfeld zastrzeża dla rządowej PPS "dokładniejszą analizę roli pravic socjalistycznej". Ale... proces ten dobiega szybko końca.

Pytanie trzecie: czy fuzja, to jest połączenie się partii socjalistycznych z partiami komunistycznymi w krajach "nowej demokracji", przestała być aktualna po deklaracji *Kominformu*?

Nie. Wystawiając swe "świadectwo moralności" reżymowym socjalistom w Europie środkowo- i południowo-wschodniej, *Kominform* bynajmniej nie zdjął z porządku dziennego sprawy fuzji. A zatem: tuż po opublikowaniu odezwy *Kominformu*, kongres rumuńskiej rządowej partii socjalistycznej upoważnił nowoobrane władze partyjne do rozmów z komunistami na temat fuzji; w dniu 12 listopada komitety centralne obu partii jednogłośnie przyjęły na wspólnym posiedzeniu wnioski dotyczące połączenia się, włącznie z programem i statutem zjednoczonego stronnictwa. Co do Polski, opinie komunistów wyraża Derek Kartun, gdy pisze w londyńskiej "Communist Review": "Można spokojnie powiedzieć, iż nic już nie stoi na przeszkodzie szybkiemu zjednoczeniu obu stronnictw klasy robotniczej w Polsce". Wprawdzie opór przeciwko fuzji trwa, a nawet pogłębia się, ale nawet tarcza ochronna z godłem t.zw. "lewicowego" socjalizmu nie stanowi już dla poszczególnych działaczy zabezpieczenia. Właśnie teoretyk "socjalizmu lewicowego", Hochfeld, został przez tegoż Kartuna zaliczony do socjalistów "prawicowych"... Podobną wymowę miał atak katowickiej PPRowskiej "Trybuny Robotniczej" na dra Bolesława Drobnera, gdy ten na łamach "Gazety Robotniczej" ośmielił się zaproponować, by członkowie PPR zwali się oficjalnie komunistami. Trwają komunistyczne łowy na czarownice, nękając sojuszników z rządowej PPS i krusząc ich opór; inkwizytorzy nie znają wycieczek, i w miarę eliminowania jednych "prawicowych" socjalistów — odnajdują nowych. Na uboczu, ale w pogotowiu, stoi ponadto ekipa "Lewego Toru", nieprześcigniona w lojalności wobec PPRu i "Bezpieki". Kongres rządowej PPS, zwołany na dni 14—17 grudnia b.r. do Wrocławia — jak słyszemy — obradować będzie w cieniu procesu Pużaka i innych socjalistów "prawicowych", których Charles Dumas we wspaniałym artykule w paryskim "Populaire" nazywa towarzyszymi najstarszymi, najofiarniejszymi i najodważniejszymi.

Wyjątek, jaki *Kominform* czyni dla socjalistów "lewicowych", jest przejściowy i pozorny: mają oni zniknąć, pochłonięci przez partie komunistyczne.

Z trzech naszych pytań i trzech odpowiedzi widoczne jest, że komuniści wszczęli na nowo walkę z całym ruchem socjalistycznym: z socjalistami "prawicowymi" i z socjalistami "lewicowymi", na Zachodzie i na Wschodzie Europy — i socjaliści godni tego imienia podejmą rękawicę. Ze strony socjalistów jest to walka o swe prawo do budownictwa socjalistycznego metodami demokratycznymi i pokojowymi; ze strony komunistów jest to próba powrotu w całej Europie do "puczynu", t.zw. rewolucyjnej gimnastyki i politycznego awanturnictwa, które tyle nieszczęść i klęsk przyniosło klasie robotniczej w dawniejszych latach.

Socjaliści francuscy zupełnie słusznie — ustami Bluma — zapowiadają, iż będą się bronili przed akcją komunistów, "ponieważ w walce tej stawką jest wolność naszej ojczyzny", i równie słusznie w walce tej odrzucają uporczywie sojusz z siłami pravic społecznej. Socjalizm europejski ma swoją własną perspektywę dziejową, jako podstawowa siła demokracji gospodarczej i społecznej, urzeczywistnianej metodami wolnościowymi, w służbie pokoju i porozumienia między narodami. Socjalizm demokratyczny pozostanie więc wierny tej własnej swojej wizji dziejowej i własnej swej drodze; miejsce socjalizmu polskiego widzimy tylko w obozie socjalizmu demokratycznego.

★

Od początków ery "lubelskiej" ruch socjalistyczny w Polsce spotkał się z zakazami policyjnymi i represjami, które uniemożliwiły mu działalność, oddając grupę uzurpatorów monopol na socjalizm. Innymi torami potoczyły się losy ruchu ludowego, który usiłował najpierw wewnątrz koalicji rządowej, a potem w t.zw. "legalnej opozycji", znaleźć swój wyraz polityczny i rozwinąć swą działalność. Dzisiaj losy ruchu ludowego w Polsce zostały wyrównane z losami ruchu robotniczego, a przywódcy chłopcy musieli opuścić Polskę i szukać schronienia na obczyźnie. Od dziesiątków lat podkreślamy myśl, że nie ma w Polsce bardziej naturalnego sojuszu jak sojusz robotników i chłopów. I dzisiaj wyrażamy więc nadzieję, że w zmienionych warunkach podjęty będzie na obczyźnie wysiłek wspólnego wytyczania dróg, prowadzących do odrodzenia ruchu robotniczego i chłopskiego — w walce o niepodległą Polskę, niefałszowaną demokrację i trwałą przebudowę społeczną.

A. C.

“BÓJ NAPOWIETRZNY”

Dnia 14 czerwca b.r. czterdziestu pisarzy polskich, przebywających na emigracji, podpisało uchwałę, zobowiązując się w niej dobrowolnie i niejako programowo nie “ogłaszać w pismach i wydawnictwach kierowanych przez władze narzucone utworów swoich, dawnych i nowych”.

Tę “dramatyczną, jeśli nie tragiczną decyzję” poprzedza krótka analiza sytuacji politycznej w kraju, w której czytamy:

“W Polsce opowanej przez Sowiety i rządzonej przez władze narzucone z Moskwy, nie istnieje wolność myśli i słowa. Ruch wydawniczy jest kierowany lub nadzorowany przez te władze, które popierają to, co im służy, a tępią wszystko inne. Jak we wszystkich dziedzinach życia tak i w tej, szczególnie dotkliwie i złośliwie, Polska jest krajem pozbawionym wolności, bez względu na przejściowe pozory”.

“Naród polski jak poprzednio przeciwko najazdowi niemieckiemu, tak obecnie przeciw najazdowi rosyjskiemu i jego rzeczywistej wszechwładzy w kraju walczy o wolność wszelkimi dostępnymi mu sposobami. Tą częścią narodu polskiego, której zadaniem jest otwarta walka o wolność, całość i niepodległość, jest emigracja polityczna. Pisarzom na obczyźnie, którym dane są inne niż pisarzom w kraju warunki pracy, przypadają w tej walce z tradycji i z istoty ich powołania obowiązki wyrażne i doniosłe.”

Zgromadzeni na Walnym Zebraniu w Londynie pisarze

“uchylając świadomie, w imię wyższych wskazań narodowych możliwości natychmiastowego, lecz obcą wolą kierowanego docierania do czytelnika w kraju, co jest żywiołowym pragnieniem każdego piszącego, nie zaniebajają żadnego wysiłku, aby ich głos swobodny był słyszany w niewolnym i cierpiącym kraju”.

Postanowienie swoje pisarze polscy na obczyźnie uważają za

“wyraz i formę walki”.

Uchwała ta, której założenia ideologiczne oraz bezpośrednio i bardziej uchwytnie pobudki praktyczne wyjaśnione zostały w tygodniu później w artykułach Tymona Terleckiego i Stefani Zahorskiej (“Wiadomości” nr. 64) przeszła w pierwszej chwili bez echa. Powitały ją tylko prześmiewki nadwornych skrybów reżymowych w kraju, i—co znacznie bardziej zastanawiające—listowne głosy krytyki ze strony pisarzy i ludzi, jak najdalej od tego reżymu stojących. Dopiero parę odważnych wystąpień frankfurckiej “Kroniki” wywołało na łamach “Dziennika Polskiego” w Londynie istną burzę w szklance wody. Posypały się artykułki i listy do Redakcji, które—jak to zwykle bywa w piśmie codziennym, dysponującym niewielką ilością miejsca—nie wyszły jednak poza ton czysto deklaratywny: nie podpisałem, bo uważam... podpisałem, bo wierzę... A tymczasem uchwała Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie jest zagadnieniem, które wymaga szerszego omówienia i oglądana we właściwej perspektywie może się stać punktem wyjścia do przesłedzenia i zrewidowania naszego stosunku do kraju i naszej racji bytu na obczyźnie.

I.

Uważam, że uchwała Związku Pisarzy jest (a) niemoralna, (b) wynika z uproszczonego obrazu sytuacji w kraju, (c) opiera się na koncepcji ghetta kulturalnego na emigracji, (d) zrywa pomiędzy nami i krajem jedną z ostatnich więzi duchowych i kulturalnych.

Postaram się kolejno dowieść prawdziwości wszystkich tych twierdzeń.

Uchwała z 14 czerwca jest niemoralna w stosunku do pisarzy na emigracji, w stosunku do pisarzy w kraju i w stosunku do całego kraju.

Byłoby truizmem dowodzić, że “zdrada klerków”, o której pisał po pierwszej wojnie światowej Julian Benda pogłębiła się w naszych oczach jeszcze bardziej i osiągnęła chyba swój szczytowy punkt nasilenia. To, co niepokoiło Bendę, jest w porównaniu z zaangażowaniem politycznym współczesnych pisarzy dziecinną igraszką. Nie ma dziś pisarza, który mógłby o sobie powiedzieć z czystym sumieniem: ja stoję z boku, mnie to wszystko nic nie obchodzi, ja bronię “prawdy transcendentnej”. Pisarze polscy, którzy pozostali na emigracji, dokonali więc już wyboru politycznego przez sam fakt tej decyzji, opowiedzieli się politycznie, i ten ich krok można interpretować tylko dwójako: albo jako akt pełnej samowiedzy politycznej, albo jako wyraz zamaskowanego dążenia do wygody osobistej. Innej interpretacji niema i w dalszych naszych rozważaniach stajemy oczywiście bez wahania na gruncie tej pierwszej.

Co z niej wynika? Oprócz doraźnego zachłystnięcia się patriotycznym gestem—rzecz bardzo groźna. Jeżeli rozwój życia politycznego na całej kuli ziemskiej zmierza ku stopniowej i zda się

nieuchronnej likwidacji “klerkizmu”—to rola prawdziwych pisarzy polegać musi nie na jej przyspieszaniu, ale na jej opóźnianiu. Znaczy to, że pisarz, który w czasach szalejącej na całym świecie burzy politycznej nie chce lub nie może schronić się pod parasol swej rzekomej apolityczności—musi przynajmniej pilnie uważać, aby nie “znacjonalizowano” zupełnie trzech jego ostatnich wolności: prawa własnego i niezależnego osądu rzeczywistości w której żyje, prawa swobodnego wyboru formy i środków wyrazu artystycznego oraz prawa wyboru dróg, jakimi zamierza dotrzeć do czytelnika. To są trzy ostatnie filary sumienia wolnego pisarza. To jest ostatnia linia obrony niezależnego pisarstwa. Jeżeli i ona zostanie przerwana, pisarze staną się urzędnikami reżymów lub doktryn, w zasięgu których działają i tworzą.

Rzecznicy uchwały twierdzą, że powzięta ona została *in articulo mortis*. *In articulo mortis* czego? Podobno odporności i jednolitości grupy polskich pisarzy emigracyjnych w obliczu najazdu Borejszy-kusiciela. Wiadomo już, że paru pisarzy poszło do Borejszy, a paru zamierzało to zrobić. Uchwała więc pomyślana była jako napiętnowanie tych, którzy poszli i powstrzymanie tych, którzy się wybierali. Szczególniej pikanterii dodaje uchwała fakt, że podpisał ją również prof. Władysław Studnicki, który jak wiadomo “chodził” w czasie wojny do Franka. Przypuszczam, że jeżeli nie pociągnięto go dotąd przed sąd Rzeczypospolitej lub conajmniej pod pręgierz opinii publicznej to jedynie dlatego, że chodził do Franka nie aby Polaków gubić, ale aby ich—w swoim oczywiście mniemaniu—ratować. Wynikałoby z tego, że twórcy uchwały uznawali w swej podświadomości rozróżnienie pomiędzy tym, co człowiek robi i tym, jak to robi. Jeżeli tak, to powinniśmy również uznać, że ważny jest nie sam fakt spotkania z Borejszą, ale cel tego spotkania. Nie sama (jakże słuszna i uzasadniona) chęć drukowania w kraju, ale to, co i na jakich warunkach pisarz emigracyjny chce w kraju wydrukować.

Wydać mi się więc, że uchwała godzi w dobre imię pisarza polskiego na emigracji, bo niejako *in blanco* wyraża mu votum nieufności. Biorąc w obronę wysoki standard moralny emigracji, zrodziła się właściwie z milczącego założenia, że ten standard jest niski, bardzo niski. Że nie można mieć absolutnie żadnej pewności co zrobi, jak się zachowa i na co się zgodzi taki emigracyjny królik, gdy wypadnie mu stanąć oko w oko z Borejszą-kusicielem.

Jeżeli tak jest naprawdę, to uchwała nic tu nie pomoże. Kto chciał zostać Conradem w spódnicy i przy zupełnej prawie obojętności na sprawy polskie potraktować kraj jako rynek zbytu dla swoich książek—ten już to zrobił. Kto zaś “chciałby, ale się boi”—zrobi to nieco później. A Conrada jak wiadomo uważa się za pisarza angielskiego, który opuścił na zawsze Polskę i jego stosunek do spraw polskich bada się nie jako problem narodowo-moralny, ale jako fenomen psychologiczno-literacki.

Jeżeli natomiast tak nie jest—a musimy wierzyć, że tak nie jest, bo w przeciwnym razie nie moglibyśmy brać ani uchwały ani pisarzy polskich na emigracji na serio—to pozostaje jedno kryterium: kryterium sumienia i godności pisarza. Jeśli żyjemy w stosunku do pisarza nie totalistyczną podejrzliwość, ale demokratyczne zaufanie, to musimy również wierzyć, że znalazłszy się w walce będzie on znał cenę swej ludzkiej godności i swego pisarskiego powołania. Że wykreślił sobie sam granicę, poza którą nie wyjdzie nigdy w swych usiłowaniach dotarcia do czytelnika w kraju: nie zgodzi się mianowicie na przystosowaną do potrzeb reżymu cenzurę swych utworów i podkreśli wyraźnie, że fakt wydrukowania jego utworu w kraju nie będzie miał wpływu na to, co i jak pisać on będzie dalej na emigracji. Z tymi dwoma zastrzeżeniami nie wolno pisarzowi polskiemu na emigracji wyrzec się ani jednej sposobności dotarcia do czytelnika w kraju.

Uchwała jest niemoralna w stosunku do pisarzy w kraju, bo zakładając że “tą częścią narodu polskiego, której zadaniem jest otwarta walka o wolność, całość i niepodległość, jest emigracja polityczna” oraz że “pisarzom na obczyźnie, którym dane są inne niż pisarzom w kraju warunki pracy, przypadają w tej walce z tradycji i z istoty ich powołania obowiązki wyrażne i doniosłe”—przewiduje w tej walce dla

pisarzy w kraju mniejszą niejako rolę i mniejsze znaczenie. Nie wiem, czy to jest prawda, czy tylko wytwór gorączkowo pracującej wyobraźni. Ale gdyby nawet tak było, to nie należało tego mówić. Każdy człowiek, który brał udział w jakiegokolwiek walce, np. na froncie, wie jak niemoralną rzeczą byłoby mówić artylerzyście, że z istoty jego powołania przypadają mu w porównaniu z piechurami mniej doniosłe i mniej wyraźne obowiązki w natarciu. Zwłaszcza, że jak dotychczas naprawdę niewiadomo kto w tej walce jest piechurami, a kto artylerzystą dalekiego zasięgu.

Uchwała jest niemoralna w stosunku do całego kraju. Pomijam tu fakt, że żaden normalny pisarz nie ma prawa pozbawiać programowo czytelnika możliwości korzystania z wytworów jego sztuki. Weźmy inny, znacznie lepszy przykład. Niema chyba Polaka na emigracji, któryby się szczerze nie cieszył z pozyskania przez Polskę nowych ziem na zachodzie. Jest to dla Polski jedna z niewielu jasnych stron tej wojny i radość z tych ziem polniemieckich, zaludnianych przez polskich chłopów, robotników i inteligentów, przesłania nawet chwilami pamięć o konfiguracji politycznej, w jakiej to pozyskanie nastąpiło. Słowem, niezależnie od dalszego biegu wydarzeń politycznych, i naszym także zdaniem Polska musi te ziemie utrzymać i ściśle je ze sobą zespolić. Wątpię, czy istnieje na emigracji umysł tak krystalicznie abstrakcyjny, aby sądzić, że w razie zmiany sytuacji światowej należałoby ten sowiecki “dar Danaów” najpierw zwrócić Niemcom, a potem go od nich idealnie czystymi rękami na nowo wywalczyć. Co my tu na emigracji możemy zrobić, aby te ziemie zostały przy Polsce? Nie możemy ich zaludniać, bo siedzimy zagranicą—to prawda. Możemy natomiast myśleć o prawie Polski do ziem odzyskanych głosić wśród obcych. Możemy również robić wszystko co w naszej mocy, aby każdy Polak który osiadł na zachodzie wczepił się jak najgłębiej pazurami, wkorzenił się w tę ziemię. Od tego chyba między innymi zależy, czy tam przetrwa, czy nie da się stamtąd wyrwać z korzeniami, gdy zadną inne wiatry. Musi mu na to starczyć sił, które poza argumentami rozumowymi daje także wiara, że te ziemie były niegdyś nasze. Tę wiarę głoszą m. in. dwie przedwojenne książki: “Na tropach Smetki” Wańkowicza i “Ziemia gromadzi prochy” Kisielewskiego. Ich autorzy przebywają zagranicą i jeden conajmniej (Kisielewski), podpisując uchwałę z 14 czerwca zobowiązał się “nie ogłaszać w wydawnictwach kierowanych przez władze narzucone utworów swoich dawnych i nowych”.

II.

Obracaliśmy się dotychczas wśród zagadnień z zakresu etyki pisarskiej, lub z jej pogranicza. Musimy teraz przejść do jądra całego problemu, do próby zrekonstruowania obrazu kraju i emigracji, który czterdziestu pisarzom polskim na obczyźnie podyktował decyzję podpisania uchwały z 14 czerwca.

Dla każdego uważnego czytelnika uchwały i komentarzy do niej jasnym się staje odrzuć, że zaciążył nad nią fatalnie duch szukania analogii historycznych do dawnych emigracji i chęć przedłużenia XIX-wiecznej tradycji popowstaniowej. Wydać mi się, że tu właśnie tkwi źródło błędu.

Pamiętamy piękne powiedzenie emigranta Słowackiego o tym, że jego twórczość poetycka bierze udział w “boju napowietrznym, który o narodowość naszą się toczy”.

Jakie to były czasy? Nowszą socjologia wykazuje ponad wszelką wątpliwość, że emigracja popowstaniowa dała początek formacji społecznej, którą nazywamy dziś inteligencją. Zwrócił na to uwagę już Brzozowski, wspominał o tym niedawno prof. Chałasiński w swojej “Genealogii społecznej inteligencji polskiej”, pisał na ten temat przed wojną świętyn krytyk Ludwik Fryde w studium o “Brzozowskim jako ideologu inteligencji polskiej”. “Na emigracji—twierdził Fryde—z rozbitek narodu szlacheckiego utworzyło się pierwsze pokolenie inteligencji polskiej”. Na emigracji powstał nowy typ Polaka, przechodzącego wygnaną z granic kraju ideę Polski we własnym duchowym depozycie, we własnych przeżyciach patriotycznych, mistycznych i artystycznych. Mała grupka ludzi, oderwanych od codziennego życia narodu, w sztuce, rozmyślaniach i apostołstwie podtrzymywała płomień idealnej Polski. Polska jako akt wiary i wytwór myśli rosla nie na swej naturalnej glebie, gdzie dogorywała właśnie kultura szlachecka, ale na paryskim bruku, w duszach swych emigracyjnych wyznawców.

Był to szczególny wypadek tworzenia się grupy

społecznej nie w myśl praw rozwoju ekonomicznego, ale na planie rozwoju narodowego. Jeżeli przyjąć encyklopedyczne określenie, że inteligencja jest "tą częścią narodu, która ma aspiracje do bezinteresownego myślenia", to trzeba przyznać, że pierwsze zastępy emigracyjnej inteligencji polskiej posiadały istotnie przywilej bezinteresownego myślenia o Polsce. Dzięki temu właśnie *outsiderzy* macierzystej warstwy społecznej przemienili się w wizjonerskich przywódców "dziewicznych" klas społecznych, które wchodziły dopiero na arenę dziejów.

Badacze stosunków społecznych w Europie XIX wieku twierdzą, że załamanie się tej idealistycznej postawy romantycznej nastąpiło w okresie "Wiosny Ludów", a więc w latach 1848-49. Badacze analogicznych zagadnień w Polsce wywodzą, że u nas zjawisko to przypada na rok 1905. Obie te hipotezy cechuje wspólne przeświadczenie, że wypadki historyczne postawiły idealistyczną elitę inteligentną wobec dylematu: albo dołączyć do wyzwolenczego ruchu proletariatu we wszystkich jego przejawach — narodowych, społecznych i ekonomicznych, albo stać się porzuconymi i zawiedzionymi kochankami klas społecznych, które w ogniu walki pozbyły się na szczęście ciężaru swego "dziewictwa". Koestler w interesującym szkicu o inteligencji ("*The Yogi and the Commissar*") określa ten dylemat jako konieczność zdźwignięcia przez inteligencję "*the burden and the privilege of responsibility*", co w przekładzie na język polski należałoby raczej oddać jako "obowiązek i przywilej uczestnictwa".

Jak te sprawy wyglądają dzisiaj? Prawie cały naród polski żyje, pracuje i dostępnymi mu środkami walczy o wolność w granicach swego własnego kraju. W atmosferze niewoli, ucisku politycznego i szalejącego faszyzmu "ludowego" czyni to również lwia część inteligencji polskiej. Są wśród niej ludzie, którzy się ześwińili i którzy postąpiliby dokładnie tak samo w każdym innym ustroju politycznym: prostytutka nie wybiera przecież kochanków, określa jedynie wysokość stawki. "Prof. Konstanty Grzybowski — powiedział ktoś dowcipnie — wcale się nie zmienił. A czy to jego wina, że reżymy się zmieniają?" Ale poza tą bandą karierowiczów istnieje przecież cała masa inteligentów pracujących: lekarzy, uczonych, inżynierów, nauczycieli i pisarzy, którzy swój wysiłek w ramach narzuconej rzeczywistości krajowej uważają za "wyraz i formę walki". Czy można tym ludziom, czy można całemu narodowi polskiemu doradzać w tej sytuacji tylko tyle, aby "trwał niezłomnie i czekał"? Czy można robotnikowi polskiemu, który na terenie swojej fabryki walczy przeciwko wszechwładzy PPR powiedzieć, że to "nie ma znaczenia"? Czy można inżynierowi polskiemu, który odbudowuje Warszawę powiedzieć, że to "dla obcych"? Czy można wreszcie pisarzowi polskiemu, który ogłosił artykuł demaskujący kręctwo intelektualne reżymowych pismaków powiedzieć, że to "i tak nic nie pomoże"? Myślę, że nie można. I to wcale nie dlatego, że byłoby to niemoralne, ale dlatego że byłaby to *nieprawda*.

Istniejący w Polsce stan rzeczy zaatakował nasze życie narodowe w sposób znacznie bardziej groźny i dotkliwy, niż niewola XIX wieku. Uderzył bowiem nie w skórę, ale w rdzeń, w najdrobniejsze żyłki krwioobiegu, w najczulsze unerwienia. Wszędzie tam, gdzie płynnie ledwie dostrzegaliśmy strumyk życia społecznego, ekonomicznego, kulturalnego i naukowego — toczy się walka o opóźnienie tempa sowietyzacji. Każdy, kto bierze w niej udział, ma to poczucie i cenę sobie. Oczekuje zaś od emigracji nie sceptycznej aprobata, ale pomocy. Jeżeli niezależny pisarz w kraju ogłasza na łamach stosunkowo niezależnego pisma krajowego dość (jak na panujące w Polsce stosunki) odważny artykuł, a jednocześnie dowiaduje się że pisarz polski na emigracji uważałby drukowanie w tym samym piśmie za rzecz poniżej własnej godności narodowej i pisarskiej — to jedno z dwojga: musi nabrać albo wstrętu do samego siebie, albo niechęci do swego kolegi z emigracji. I wówczas właśnie powstaje groźba, że wyrwa spowodowana długoletnią rozłąką przebiegać będzie nie tak, jak tego chce prof. Stroński, t. zn. pomiędzy okupantem i narodem (w kraju i na wygnaniu), ale dokładnie tak jak sobie to wyobraża Józef Czapski, t. zn. pomiędzy krajem i emigracją.

Być może wolelibyśmy, aby sytuacja w kraju była "jaśniejsza" i bardziej "jednoznaczna": z jednej strony samotna "*Kuźnica*", a z drugiej samotny i milczący naród polski. Ale tak nie jest. Pomiędzy nad-czerwienią i ultra-fioletem istnieje jeszcze cała tęcza kolorów innych, bo takie są prawa życia, które cudem uniknęło śmierci. Dzisiejsza niewola jest

totalna i obrona przeciwko niej musi być również totalna, na wszystkich odcinkach działania i twórczości. Polska stała się po tej wojnie zbyt powszechnym przeżyciem całego narodu, aby oderwawszy się od ziemi mogła zbiec jako wartość czysto duchowa na londyński lub paryski bruk. To też czasy, w których trwał "bój napowietrzny" małej garstki emigrantów, przechowujących i wzbogających depozyt Polski we własnych wygnanych duszach — należą już do przeszłości. Powtórzenie tej roli, po latach które na inteligencję nałożyły "obowiązek i przywilej uczestnictwa", uczyniłoby z dzisiejszej emigracji literackiej nie źródło siły narodowej i mocy moralnej ale ghetto kulturalne. Obawiam się, że na takiej właśnie niewyznanej przesłance ghetta kulturalnego oparła się uchwała z 14 czerwca.

Rzecznicy uchwały obawiają się, że drukowanie w kraju stwarzałoby jeszcze jeden "pozór wolności", której w Polsce nie ma. Z tymi "pozorami wolności" jest tak: albo ich jest za dużo i wtedy przestają być pozorami a stają się prawdziwą wolnością; albo ich jest za mało i wtedy jeden więcej czy jeden mniej nie ma żadnego znaczenia. Jeśli chodzi o kraj, to jest ich tam niestety stanowczo za mało i będzie coraz mniej. Człowiek więc odczuwający coraz dotkliwszą niewolę w Polsce nie będzie szukał dowodów jej istnienia w zachowaniu się pisarzy polskich na emigracji, ale w zachowaniu się Bezpieki i PPR w kraju. Pisarze polscy zostali na emigracji, żeby za granicami Polski pisać to, czego w Polsce pisać nie wolno. Właściwy sens ich decyzji jest może w tej chwili dla kraju nieczytelny i mało przejrzysty, ale przyjdzie czas, gdy ukaże się w całej pełni. Już teraz natomiast powinni do kraju pisać to, co jeszcze ciągle pisać w nim wolno. Powinni to uczynić w imię zachowania ostatniej więzi kulturalnej łączącej ich z krajem i dla dobra literatury polskiej, która wyszła z tej wojny tak strasznie okaleczona i zubożona.

Bój o Polskę nie jest napowietrzny, jest raczej bardzo ziemny. Trudno odróżnić co w nim jest "walką oziwłą" a co walką z ukrycia. Można nie osiągnąć żadnych wyników w próbach dopomożenia mu z emigracji, ale nie wolno się odeń programowo odgradzać. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.

"SLEPE OKNA"

Czytelnicy nasi pamiętają wywody Leona Bluma, przywódcy socjalistycznego, w polemice z Maurycym Thorezem, przywódcą komunistycznym — na temat *materializmu dziejowego* i *materializmu filozoficznego*; wywody te drukowaliśmy w sierpniowym zeszycie naszego pisma. Do tego samego zagadnienia powraca obecnie w brukselskim "*Le Peuple*" (centralnym organie Belgijskiej Partii Socjalistycznej) redaktor naczelny tego pisma, tow. Victor Larock.

Rozpętały się boje ideologiczne! — pisze tow. Larock. — Maurycy Thorez oskarżył Leona Bluma, zresztą niesłusznie, o rzekomą "próbę nakłonienia socjalistycznych robotników do uznania wyższości ducha nad materią". A teraz sam Ernest Bevin, z okazji amerykańskiego Dnia Niepodległości, uznał za konieczne wdać się temi słowy w filozoficzną potyczkę na część swych amerykańskich gości: "Konflikt, rozwijający się obecnie w świecie, jest konfliktem pomiędzy materialistycznym pojmowaniem dziejów z jednej strony, a nami Anglosasami, którzy wierzymy w wolność, z drugiej strony."

Materia i duch, materializm i wolność: oto, co się nazywa, podnieść dyskusję na wysoki poziom. Kto wobec tego ośmieliłby się jeszcze twierdzić, że idee nie rządzą światem?

W rzeczy samej, zdaje się, że ludzie zmienili się bardzo mało od czasu, kiedy to zarzynali się nawzajem pod pretekstem niemożności dojścia do porozumienia na temat przeznaczenia i wolnej woli. Biedny August Comte, który przed z górą stuleciem twierdził, iż ludzkość weszła obecnie w wiek pozytywizmu, w wiek nauki! Faktycznie wciąż daleko nam nawet do elementarnej wiedzy, polegającej na niebraniu abstrakcji za rzeczywistość ani zwykłych słów za prawdziwe idee.

Czyżby doświadczenie dwóch wojen światowych nie nauczyło nas niczego? Pierwsza wojna światowa miała doprowadzić do tryumfu "prawa" nad "siłą". Taki był jej temat. Narody w to uwierzyły. Atoli pokój, który nastąpił, otwarł im oczy i trzeba było obmyśleć coś nowego.

Druga wojna światowa miała być wojną "demokracji" przeciw "dyktatorom". Niedługo trwało, a okazało się, iż demokracja w rozumieniu niektórych państw zwyciężskich lub oswobodzonych dziwnie przypomina reżymy dyktatorskie.

Jeśli nastąpi trzecia wojna światowa, to prawdopodobnie — nie przesadzając, kto będzie agresorem — będzie ona wojną "ducha" przeciw "materii" albo też "wolności" przeciw "materializmowi dziejowemu". Thorez wypowiada się za materią, a Bevin za wolnością.

"Ślepe okna", mówił Pascal na temat antytez, które nic nie znaczą. Mówił to jednak tylko o literaturze. W polityce — w czasach w jakich żyjemy — ten rodzaj kamuflażu ideologicznego jest przedsięwzięciem ryzykownym. Opinia publiczna jest już zbyt podzielona i zbyt skrzętnie poszukuje dodatkowych przyczyn konfliktu. Podsycając niesnaski tak zwany przeciwstawami doktrynalnymi, które w gruncie rzeczy nie są niczym innym jak tylko przeciwstawami słownymi, jest zabawą niebezpieczną.

Co to jest "materia" i co to jest "duch"? Przez 25 stuleci, od Jończyków do Karola Marxa włącznie, a nawet długo po nim, słowa te oznaczały pojęcia jasne, zwarte i wyraźne. Lecz pojęcia te były błędne.

Gdy nasi politycy uczenie bombardują się nawzajem tymi wyrazami, jak u Moliere, nie wygląda na to, by się domyślali, że wiedza eksperymentalna dokonała pewnych postępów w ciągu ostatnich 50 lat i że wyrazy takie, jeśli wogóle jeszcze mają jakieś znaczenie dla fizykochemii i fizjologii współczesnej, obejmują całokształt zjawisk oraz niewiadomych, o których Marxowi, Feuerbachowi, Heglowi nie śniło się więcej niż "atomistom" starożytności.

Niestety — pojęcia zmieniły się radykalnie, ale słowa nie uległy zmianie. A tu mężowie stanu na równi z masami, do których przemawiają, w dalszym ciągu przywiązują do słów wartość bezwzględna, jaką utraciły one już od dawna.

Pamiętam zabranie Francuskiego Towarzystwa Filozoficznego, w którym udział brali Langevin, Louis Broglie, Brunschwick, Lalande i inni wybitni myśliciele francuscy. Wszyscy byli zgodni co do jednego: pomiędzy wyrażeniami, używanymi w mowie potocznej ("materia", "duch" itd.) a wyrażeniami, którymi posługuje się nauka gdy opisuje rzeczywistą treść zjawisk, nie ma już dzisiaj w gruncie rzeczy nic wspólnego. Język nasz przelaowany jest zadawnionymi błędami, przestarzałymi pojęciami.

Thoreza to mało obchodzi. Prawda — to coś dla filozofów. Rzeczą Thoreza jest prostru denuncjowanie zdrady Leona Bluma przed robotnikami socjalistycznymi jako tego, który zbuntował się przeciw Marxowi i staje po stronie "ducha" przeciw "materii". Czy możliwe, by robotnicy socjalistyczni nie wybuchli oburzeniem? A już jeśli — narówni z Maurycym — nie mają oni głowy do filozofii, to mają poczucie wierności.

Co się zaś tyczy Bevina, to dlaczego nie powiedział on tego co chciał powiedzieć: mianowicie, że Anglosasi wolą swe tradycyjne swobody od sowieckiego totalizmu? Czemu w to mieszać "materializm dziejowy", idąc tym samym na rękę stalinowcom, którzy przy każdej sposobności udają, iż reprezentują materializm dziejowy? Być może Bevin chciał prostru poirytować Laskiego. Tem niemniej ubolewać należy nad wypowiedzią, którą mu przypisują agencje prasowe.

Materializm dziejowy nie ma żadnego związku z totalitarnym despotyzmem. Jak się zdaje, Bevin pomylił sobie Marxa z Tomaszem Hobbesem. Materializm dziejowy nie jest niczym innym, jak tylko metodą interpretacyjną; można ją doskonalić, jak wszystkie metody; metoda ta utrzymuje, iż ewolucja społeczeństw ludzkich zależy od ewolucji form własności i wytwarzania. Opiera się ona na dobrze — zaje się — udowodnionym twierdzeniu, iż czynniki ekonomiczne rozstrzygają. Nigdy nie twierdziła ona, iż czynniki ekonomiczne są czynnikami *jedynymi* lub że historia rozwija się jako nieubłagany pochod sił materialnych, wobec których wola zbiorowa i jednostkowa w praktyce nie istnieje. Gdyby ten determinizm czy też fatalizm społeczny był ostatnim słowem marksizmu, to w takim razie całe życie Marxa — a walczył on nieugięcie o sprawiedliwszy i racjonalniejszy ustrój — zostałoby zredukowane do absurdum.

Materializm dziejowy demaskuje *złudzenia* wolności, ale daleki jest od negowania wolności; usiłuje on — w drodze najrealistyczniejszego objaśniania przeszłości — dać ludzkości do rąk narzędzia zdobycia wolności. To właśnie winien był Bevin wytłumaczyć swym amerykańskim słuchaczom. Ale nie należy żądać zbyt wiele od mężów stanu — nawet, a zwłaszcza od tych, którzy są jak najbardziej oderwani od wszelkiej doktryny. Gdyby używali oni zawsze formuł wycieniowanych i precyzyjnie ścisłych, to niewątpliwie nie byłoby one tak frapujące. A zresztą, opinia publiczna wcale by tego nie doceniła.

SPRAWA 23

Sprawa 23 socjalistów polskich, uwięzionych przez "Bezpiekę", nie przestaje budzić zainteresowania opinii światowej. Notujemy znowu szereg głosów w tej sprawie.

W "New York Herald Tribune" z dnia 31 sierpnia umieszczony został obszerny list tow. dra Feliksa Grossa, o którym redakcja przypomina, iż był on sekretarzem generalnym Środkowo-Europejskiego Wydziału Planowania, redaktorem miesięcznika "New Europe", a obecnie jest profesorem uniwersytetu nowojorskiego. Prof. Gross zaczyna swój list słowami:

"Wzrastają prześladowania przywódców demokratycznych i intelektualistów we wszystkich krajach wschodniej Europy, znajdujących się pod kontrolą sowiecką. Jak się zdaje, rozwija się planowa akcja, mająca na celu zniszczenie żywiołów demokratycznych na całym obszarze pomiędzy Bałtykiem i Adriatykiem."

I tu prof. Gross dokonuje szczegółowego przeglądu wydarzeń w Jugosławii (sprawa prof. Borysa Furlana i Jowanowicza), w Polsce (sprawa Pużaka i tow., proces krakowski przeciw ludowcom), na Węgrzech (prześladowanie stronnictwa drobnych rolników, sprawa Kovacsza), w Rumunii (sprawa dra Maniu) i w Bułgarii (skazanie Petkowa na śmierć).

Sprawę aresztowanych socjalistów polskich omawia prof. Gross bardzo szczegółowo, podaje m. in. życiorysy niektórych z nich i zaznacza, że — podobnie jak Bagiński, Mierzwa, Buczek —

"byli oni znani w Polsce przedwojennej jako bezkompromisowi przywódcy ruchów demokratycznych; wielu z nich cierpiało prześladowania z powodu swej działalności politycznej, zmierzającej do przywrócenia demokracji".

List prof. Grossa kończy się słowami:

"W interesie pokoju, należy zaniechać tych prześladowań i uwolnić przywódców demokratycznych. Demokratyczna opinia publiczna jest przeciwna temu, co czynią rządy w strefie sowieckiej. Jednakże mocniejsze protesty mogą ocalić wiele żyć ludzkich; mogą one — miejmy nadzieję — wywrzeć wielki wpływ na rządy we wschodniej Europie."

Nie tak dawno temu, p. Dimitrow był sądzony przez hitlerowski trybunał w słynnej "sprawie o podpalenie Reichstagu". Cała demokratyczna opinia publiczna w Europie i Ameryce została podówczas zmobilizowana do walki o życie i wolność p. Dimitrowa. Pod naciskiem opinii publicznej zbiry Hitlera musieli się ugiąć. Po objęciu rządów w Bułgarii przez p. Dimitrowa, p. Petkowa, demokrata, został skazany na śmierć. P. Dimitrow nie spłacił długu, jaki winien jest demokratycznej opinii publicznej za swą wolność. Czy nie moglibyśmy zażądać obecnie od p. Dimitrowa, by wykazał trochę szlachetności i spłacił swój dług? By zaniechał terroru i prześladowań? Muszą się znaleźć podstawy prawne, by cała sprawa nowych tych prześladowań została przedłożona Komitetowi Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych".

Apel prof. Grossa do szlachetności komunistycznego premiera Bułgarii pozostał bez echa. Petkow zginął na szubienicy, a cały świat demokratyczny wzdrygnął się z oburzenia, potępiając jednomyślnie tę zbrodnię. Tem większy wysiłek konieczny jest, by rozległ się stanowczy głos opinii publicznej świata demokratycznego w sprawie innych ofiar prześladowań, a zwłaszcza w sprawie uwięzionych socjalistów polskich.

Myśl skierowania sprawy uwięzionych socjalistów polskich do Organizacji Narodów Zjednoczonych podniosła Federacja Socjalistyczna Kuby, która zwróciła się do ambasadora Kuby w Waszyngtonie (a zarazem przedstawiciela Kuby w Organizacji Narodów Zjednoczonych) z prośbą o interwencję w tej Organizacji. Również na Kubie, w socjalistycznej audycji radiostacji O'Shea dwukrotnie nadane zostało w przekładzie hiszpańskim oświadczenie Komitetu Zagranicznego PPS w sprawie aresztowania Pużaka i tow.

Wychodzący w Hawanie miesięcznik "Accion Socialista" w numerze październikowym przynosi artykuł p.t. "Terror sowiecki w Polsce — Uwięzieni przywódcy socjalistyczni i chłopsy". Artykuł ten omawia obszernie aresztowanie działaczy socjalistycznych w Polsce, a już wręcz szczegółowo przedstawia czytelnikom osobę Pużaka, którego fotografia ilustruje artykuł. Artykuł zamyka się słowami:

"Sądzimy, że te tak brutalne represje stosowane przez nowych i najstraszliwszych w świecie imperialistów, jakimi są Sowiety, winny skłonić klasę robotniczą i całą demokrację międzynarodową do zdemaskowania tych, którzy pomimo tego okropnego postępowania Sowieci wciąż jeszcze twierdzą, iż jest to kraj wolności, jakkolwiek jest to tylko kraj ucisku".

Należy dodać, że Komitet Międzynarodowych Stosunków Robotniczych (Comite de Relaciones Obreras Internacionales) w Hawanie wystosował w dniu 17 września do Komitetu Zagranicznego PPS w Londynie pismo następującej treści:

"Drodzy Towarzysze!

"Dostaliśmy wiadomości o ucisku, jaki istnieje w waszym nieszczęsnym kraju, opanowanym przeważnie przez siły ciemności ZSRR; dalekie od roli oswobodzicielskiej, zawsze uciskają one narody, o których twierdzą że je przychodzi wyzwalać. W kraju

waszym niedawno zostali aresztowani przywódcy socjalistyczni, między nimi wielki bojownik towarzyszy Pużak. Kierujemy do was i do całego świata cywilizowanego nasz najenergiczniejszy protest przeciw takiemu uciskowi ze strony władz sowieckich.

Nasz Komitet, jak i Federacja Socjalistyczna Kuby, do której należymy, jest poruszony waszą walką i winaście wam waszej nieustraszonej odwagi w walce o wolną Polskę w ręku socjalistów i demokratycznych robotników.

Przyjmijcie więc, towarzysze, nasze braterskie pozdrowienie i ponowne nasze serdeczne życzenia wolności dla Polski.

Juan Arevalo, sekretarz generalny."

W brytyjskiej Izbie lordów miała miejsce w dniu 5 listopada znamienita debata, którą otworzył Lord Vansittart, oskarżając państwa satelickie Sowieci, iż wbrew zaciągniętym zobowiązaniom traktatowym systematycznie gwałcą prawa człowieka i swobody obywatelskie. Lord Vansittart poruszył również stale pogarszające się położenie socjalistów "wszędzie we wschodniej Europie" i przytoczył, iż "w Polsce znowu zaarrestowano wielu najlepszych pomiędzy nimi".

W angielskiej prasie socjalistycznej, sprawę 23 przypomina londyński tygodnik "Tribune" z dnia 19 września, łącząc aresztowanie socjalistów przez policję bezpieczeństwa z innymi przejawami ataku komunistycznego na (koncesjonowaną) PPS, zapoczątkowanego propozycją połączenia się z komunistami z dnia 1 maja b.r.

W wychodzącym w Glasgow, szeroko znanym szkockim tygodniku socjalistycznym "Forward" z dnia 20 września Roy Roy porusza sprawę 23 socjalistów polskich, podkreślając ich wspaniałą "kartę służbową" oporu podziemnego i zaznaczając, że trzymają się oni w więzieniu bez sądu. "Czas — pisze Roy — by rząd polski przeprowadził przeciw tym ludziom publiczny proces. Tego rodzaju represje polityczne przynoszą uszczerbek sympatii i poparciu, jakiego lud polski potrzebuje i na jaki zasługuje w swym olbrzymim zadaniu odbudowy". Do sprawy tej powraca w liście do redaktora "Forward'u" (dn. 4 października) James Smith, polemizując z ogłoszonym w tymże piśmie listem p. Artura Brady'ego, z dawien dawna znanego specjalisty od obrony poczynań sowieckich i komunistycznych na terenie Polski. Przedewszystkiem, stwierdza James Smith, największym poparciem, jakie w obecnym stadium kolumnista "Forward'u" może dać ludowi polskiemu, byłoby wyraźne potępienie faszystowskich metod rządu warszawskiego:

"Ruch robotniczy musi otrząsnąć się z owej tendencji, która hasłom i uchwałom antyfaszystowskim nadaje piętno hipokryzji. Tendencja ta, to wahanie się z potępieniem metod faszystowskich jeśli są one stosowane przez lewicę."

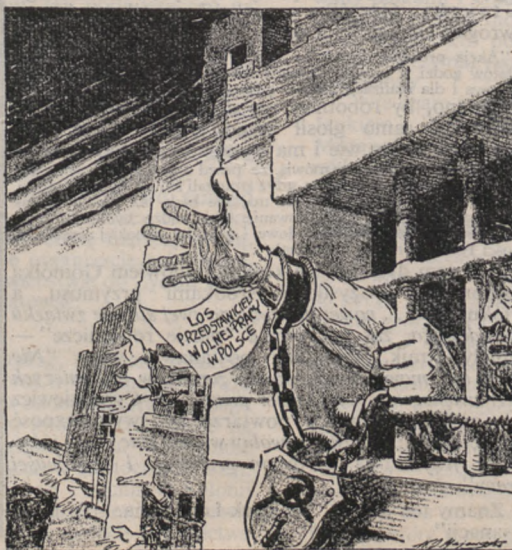
Gdyby tych 23 socjalistów było Hiszpanami aresztowanymi przez Franco, związki zawodowe i miejscowe oddziały Partii Pracy uchwałyby rezolucje protestacyjne i nalegałyby na rząd, by przystąpił do czynu; mogą też sobie wyobrazić pełen oburzenia list p. Brady'ego w "Forward'zie", protestujący przeciw niegodziwym czynom dokonywanym przez zbrodniarzy faszystowskich i domagający się zerwania stosunków dyplomatycznych z Hiszpanią.

Uczucia demokratyczne p. Brady'ego i wielu innych w ruchu robotniczym znajdują prawdziwy wydzźwięk, gdy posłyszmy ich broniących demokracji przed atakami naszych "lewicowych" totalistów tak samo jak przed prawicą".

Święta prawda.

Prasa polska w całym świecie (z wyjątkiem prasy komunistycznej i kontrolowanej przez komunistów) raz po raz powraca do sprawy Pużaka i tow. Tutaj reproduujemy rysunek, jaki sprawie tej w dniu 9 sierpnia poświęcił wychodzący w Chicago "Dziennik Związkowy". Rysunek ten ma swoją wymowę i nie wymaga komentarzy.

Apel Do Całego Świata Robotniczego



ZYGMUNT ZAREMBA

Komunikat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wydany po aresztowaniu 23 socjalistów polskich, wymienia Zarembę jako jednego z kierowników WRN za granicą i zarzuca aresztowanemu, iż pozostawał z nim w bezpośrednim związku organizacyjnym. Komunikat ten od początku do końca jest jednym wielkim, potwornym kłamstwem.

OBRONCY PRAW CZŁOWIEKA NIE OPUSZCZĄ RĄK.

Dnia 17 października odbyła się w Paryżu konferencja prasowa, zwołana przez Ligę Praw Narodów. Przewodniczący Ligi, socjalista Jean Texcier, oświadczył na konferencji, że opinia francuska jest głęboko zaniepokojona aresztowaniem wybitnych socjalistów polskich, którzy byli bohaterskimi kierownikami ruchu oporu w czasie okupacji niemieckiej i odmówili pójścia pod komendę komunistyczną.

Wobec przyjaźni, łączącej oba narody, polski i francuski, Liga nie uważa za wskazane zakładać już obecnie protestu, ponieważ nie zna dokładnie ani motywów aresztowań, ani też aktów sprawy. Liga nie chce również zakładać z góry, że do sądownictwa polskiego nie można mieć zaufania.

Jednak z uwagi na to, że aresztowani są socjalistami zasłużonymi w walce z faszystwem i że we wschodniej Europie odbyły się już procesy polityczne bardzo niepokojące, Liga uważa, że dla utrzymania przyjaźni polsko-francuskiej konieczne jest, aby opinia francuska była dokładnie poinformowana o procesie socjalistów polskich.

W tym celu Liga, kierując się precedensami z procesu mienszewików i procesu Thaelmanna, zwróciła się do adwokata tow. Jerzego Izarda (jednego z najwybitniejszych adwokatów francuskich i kierowników ruchu oporu oraz byłego posła socjalistycznego do parlamentu), aby podjął się obrony oskarżonych. Liga nie wątpi, że rząd warszawski zgodzi się dopuścić adwokata Izarda do obrony.

Gdyby jednak wbrew przewidywaniom tow. Izard nie został dopuszczony do obrony, to Liga nie opuści rąk. Liga postara się o zebranie wszelkich dostępnych materiałów i podobnie, jak w Londynie został powtórzony proces o podpalenie Reichstagu, tak też w Paryżu z udziałem najwybitniejszych prawników powtórzony będzie proces Pużaka i towarzyszy.

Następnie sekretarz generalny Ligi, Gruber, podał zebrany dziennikarzom dane biograficzne aresztowanych socjalistów polskich.



W brytyjskiej Izbie gmin, poseł Harry Hynd (Labour Party) zgłosił w dniu 10 listopada interpelację do ministra spraw zagranicznych, zapytując:

"czy na nadchodzącym procesie polskich przywódców socjalistycznych obecni będą obserwatorzy brytyjscy?"

Wiceminister Mayhew udzielił następującej odpowiedzi na piśmie:

"Przyrzeczam, że pan poseł ma na myśli grupę, której czołowym przedstawicielem jest p. Pużak. Nie słyszałem o tym, by proces tych socjalistów miał nastąpić w najbliższej przyszłości, ani też nie wiem, czy rozprawa będzie publiczna. Zapewniam jednak p. posła, że przebieg procesu będzie śledzony z żywym zainteresowaniem przez Ambasadę JKM w Warszawie".



Z prasy amerykańskiej dowiadujemy się, iż w Chicago powstał komitet, skupiający najpoważniejsze amerykańskie organizacje robotnicze stanu Illinois i mający na celu zaproteście przeciw gnębieniu w Polsce działaczy robotniczych, a zwłaszcza przeciw uwięzieniu 23 socjalistów polskich.

POLACY WE FRANCJI

I.

Francja, kraj tradycyjnie gościnny dla emigrantów politycznych, stała się na początku II-ej wojny światowej schronieniem dla wielkiej rzeszy Polaków, jak to się zdarzyło już kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat stu pięćdziesięciu. Jak po upadku powstań ubiegłego stulecia wielka ilość emigrantów polskich przybywała do Francji, tak samo po tragicznym wrześniu 1939 zaczęli oni znowu wszelkimi możliwymi szlakami wędrować na Zachód. Poprzednie emigracje polskie pozostawiły po sobie we Francji wiele śladów. Mówi się dużo o tradycyjnej przyjaźni francusko-polskiej, szereg rodzin francuskich nosi nazwiska brzmiące z polską.

Ostatnia fala polskich emigrantów, jaka przybyła do Francji przed "wrześniowcami", nie posiadała charakteru politycznego, lecz *gospodarczy*. Ludzie, którym Polska odrodzona nie potrafiła zapewnić chleba, przybywali tu na jego poszukiwanie. Ta fala emigracji polskiej była szczególnie liczna; w roku 1938 było we Francji przeszło 500.000 obywateli polskich, zgrupowanych w północnej części kraju (Lille, Lens), środkowej (St. Etienne, Monceau-les-Mines) i południowo-zachodniej (Alès, Carmaux). W Paryżu jest również kilkadziesiąt tysięcy Polaków, przeważnie rzemieślników i kupców.

Oto, jaką sytuację zastała we Francji wielka nowa fala emigracji polskiej, która zaczęła napływać począwszy od października 1939 głównie przez Rumunię i Węgry. Nie mamy statystyki, ilu ich przybyło. Armia polska we Francji (t.zw. armia Sikorskiego) powstała z dwu kategorii Polaków: Stara emigracja robotnicza i chłopska dała 50.000 żołnierzy, powołanego drogą mobilizacji przy częściowym udziale administracji francuskiej. Było to 100% tego, co emigracja polska mogła zmobilizować; wszyscy zdolni do czynnej służby wojskowej powołani zostali do wojska, za wyjątkiem robotników pewnych gałęzi przemysłu wojennego i częściowo górników. Drugą grupę żołnierzy stanowiło 30.000 ochotników z kraju. Na tle wzajemnego niezrozumienia się między "starą" i "nową" emigracją istniały na początku między obu grupami konflikty i nieporozumienia, które zniknęły całkowicie, gdy dywizje polskie poszły do boju.

Dążeniem dowództwa polskiego było, aby wszystkie oddziały polskie walczyły razem jako zwarty korpus. Władze francuskie, spowodowane prawdopodobnie szybkim rozwojem wypadków, postanowiły inaczej. Dwie dywizje polskie, brygada pancerno-motorowa Maczka, brygada strzelców podhalańskich i dwie dywizje w stanie organizacji walczyły każda oddzielnie, co nie przeskodziło im w okryciu oręża polskiego sławą.

Wobec poddania się Francji, dywizje polskie rozwiązały się w polu; żołnierze ze starej emigracji (o ile nie dostali się do niewoli) powrócili do swoich domów. Najtrudniejsza stała się sytuacja Polaków z nowej emigracji, którzy nie mieli we Francji swojego kąta. Cofając się przed nawałą niemiecką na południe, często w zwartych oddziałach, duża ilość wojskowych dotarła do t.zw. Francji nieokupowanej. Władze Vichy stworzyły z tych grup specjalne oddziały, nazwane "batalionami pracy". Ochotnik polski, przybyły z drugiego krańca Europy, aby walczyć o sprawę swojej własnej ojczyzny, zeszedł w ten sposób do roli napół niewolniczej siły roboczej. 30.000 żołnierza przedostało się jednak do Wielkiej Brytanii.

II.

Sytuacja polskich mas uchodźczych pod okupacją niemiecką we Francji stawała się coraz cięższa. "Starzy" emigranci, którzy powrócili do "swoich" kopalni i ferm czuli się jeszcze najlepiej: przypuszczali, że nie grozi im nic więcej niż Francuzom. "Nowa" emigracja cywilna, pozbawiona opieki polskich placówek konsularnych, zamkniętych natychmiast przez władze Vichy, znalazłaby się w *zupelnej nędzy*, gdyby nie opieka Polskiego Czerwonego Krzyża, który zresztą musiał ukrywać swą działalność pod szyldem Towarzystwa Opieki nad Polakami we Francji (TOPF). Utworzyła się pewna ilość polskich ośrodków emigracyjnych; największe z nich były u podnóża Alp w Grenoble, w Lyonie, w Perigueux, w Nicei; to ostatnie miasto, będące pod okupacją włoską, uważane było za najlepsze schronienie przed Niemcami.

Łatwo możemy wyobrazić sobie szare, beznadziejne życie emigranta polskiego w schronisku w małym prowincjonalnym miasteczku francuskim. Życie, które przeciągało się z miesięcy na lata, *bez pracy, nawet bez nadziei i bez ochoty do pracy*, w którym jedynym jasnym momentem był codzienny obrządek słuchania wieczorem komunikatu radiowego z Londynu, tak podnoszącego na duchu.

System grupowania Polaków w schroniskach miał tę wielką wadę, że ułatwiał kontrolę władzom nieprzyjacielskim (niemieckim lub Vichy) i doprowadzał do masowych aresztowań z okazji obław policyjnych. Na liście prześladowań niemieckich we Francji: aresztowań, rozstrzeliwań, deportacji, wywożeń do pracy przymusowej — emigracja polska znalazła się na "dobrym" miejscu. Prawda, prześladowania, jakie wycierpiała ona, były znikome w porównaniu z tem, co działo się w kraju. Wszelka licytacja byłaby tu jednak bez sensu.

Prześladowania Polaków, które w północnej Francji trwały od samego początku okupacji, przerzuciły się na Francję południową, gdy w końcu 1942 roku Niemcy, łamiąc umowę o zawieszeniu broni, zajęli t.zw. strefę nieokupowaną. Rozwiązali oni oczywiście wszystkie stare emigranckie organizacje robotnicze. W wielkiej liczbie wywozili Żydów polskich; w przeciwieństwie do Żydów francuskich, bardzo niewielu Żydów polskich udało się uratować.

III.

Wyzwolenie Francji, które dało długo na siebie czekać, nadeszło wreszcie. Oprócz polskich wojsk regularnych dywizji Maczka brał w nim udział bardzo znaczny ruch "makizardów" polskich, zrzeszonych bądź w oddziałach francuskiego ruchu oporu, bądź we własnych polskich oddziałach, związanych jedynie na szczeblu najwyższym z francuskim demokratycznym ruchem oporu. Szczególnie liczny był udział robotników i górników z kolonii polskich w północnej Francji.

Po wyzwoleniu, Paryż stał się ośrodkiem życia licznej i ruchliwej kolonii polskiej. Życie społeczno-polityczne polskie rozkwitło po czteroletniej przerwie do wielkich rozmiarów. Organizacje polskie i wszystkie polskie stronnictwa polityczne wznowiły swą działalność. Otworzyła znowu swe podwoje stara, prawie

stuletnia Biblioteka Polska, ciężko doświadczona rabunkiem niemieckim; w dniu wyzwolenia Paryża, gmach jej zdobyli powstańcy polscy z POWN.

Koniec wojny z Niemcami w maju 1945 r. przyniósł *nowe zagadnienia uchodźców polskich*. Z Niemiec napłynęła do Francji nowa wielka fala Polaków w strasznej nędzy fizycznej i materialnej. Byli to jeńcy z kampanii wrześniowej — po blisko sześciu latach obozów, jeńcy z t.zw. armii Sikorskiego, jeńcy z powstania warszawskiego, deportowani z Polski do pracy przymusowej w Niemczech, Polacy dezercerzy z Wehrmachtu, Polacy internowani w Szwajcarii. Fala ta napływała do Francji przeważnie nielegalnie, miesząc się z tłumem powracających Francuzów i licząc na to, iż znajdzie tu przytułek i warunki lepsze, niż w zniszczonych Niemczech. Polskie instytucje opiekuńcze we Francji zostały wkrótce całkowicie obezwładnione tą masą biedoty ludzkiej, która z pomiędzy wielu utraconych dóbr odzyskała tylko to jedno: *wolność*. Przyodziewa się ich jak można, wypłaca się zasiłki, wreszcie otwiera się dla nich szereg obozów przejściowych, które nie mają drutów kolczastych, ale zawsze są jednak . . . tylko obozami.

Dziś, w dwa lata po zakończeniu działań wojennych, sytuacja uległa zmianie. Kto zdecydował się powrócić do Polski, powrócił. Reszta zmieszała się już ze starą emigracją, uzyskała pracę i możliwe warunki bytu. *Cała emigracja polska zjednoczona jest obecnie bardziej, niż kiedykolwiek i zapomniana, kto jest "stary" a kto jest "nowy"*. Wszyscy razem — czekają.

Olgierd ZDROJEWSKI.

J A N E K

Plac Muranowski przedzielony był wysokim murem, którego stale pilnowali niemieccy żandarmi. Po jednej stronie muru znajdowało się ghetto, po drugiej stały domy dzielnicy "aryjskiej." Dozorcy domu przy placu Muranowskim pod numerem 4 był Janek, spokojny i małowówny, młody jeszcze człowiek. Poznałem go w okresie drugiego wysiedlenia Żydów z ghetta, w styczniu 1943, gdy za murami ghetta rozległy się pierwsze żydowskie strzały. Miałem przerzucić do ghetta paczkę, zawierającą kilka granatów i właśnie tego Janka polecono mi jako zaufanego człowieka, który wszystko załatwi pewnie i szybko.

Poszedłem na plac Muranowski o zmierzchu. Janka znalazłem w stróżówce; podałem nazwisko osoby, która mnie do niego skierowała i wręczyłem mu paczkę z prośbą o jak najszybsze przekazanie do ghetta do warsztatów Oschmana, które mieściły się po przeciwnej stronie muru. Jankę zapytał krótko: "Towar czy *gnaty*? bo widzi pan, jak *gnaty* (broń) to trzeba inną drogą, zieloni ostatnio bardzo pilnują." Naturalnie powiedziałem mu, co paczka zawiera. Pokiwał głową i rozstał się. Jeszcze tej samej nocy paczka znalazła się w ghetcie.

Widziałem się z Jankiem jeszcze dwukrotnie, nigdy nie miałem zawodu ani zwłoki. Potym przyszły krwawe dni kwietniowe 1943 r. i powstanie w ghetcie. Ghetto i przylegające ulice "aryjskie" otoczone były kordonem SS i żandarmerii, przepuszczano wyłącznie stałych mieszkańców tych domów po wylegitymowaniu ich i tylko z oddali patrzyliśmy, jak ghetto warszawskie umierało w walce.

Pod koniec maja spotkałem przyjaciela, który niedługo skierował mnie do Janka i naturalnie zapytałem o "meline" przy placu Muranowskim. W odpowiedzi usłyszałem niezwykłą historię tego małowównego dozorczy domu, członka organizacji bojowej PPS, który zorganizował wspólny punkt przerzutowy z ghetta i razem z żydowskimi bojowcami z warsztatów Oschmana przekopał tunel podziemny, łączący dozorowany przez niego dom z domem przy placu Muranowskim nr. 5 w ghetcie. Drogą tą szły do ghetta różne paczki, broń i amunicja. Gdy wybuchło powstanie w ghetcie, tunelem przeprowadzono z okolic placu Muranowskiego do dzielnicy "aryjskiej" kilkuset mieszkańców ghetta, którzy musieli opuścić zawsza przygotowane bunkry, ponieważ Niemcy podpalili wszystkie domy i ogień dotarł do bunkrów.

Szła tunelem broń, żywność i woda; cała akcja odbywała się cicho i sprawnie pod kierownictwem Janka, który sam prowadził niektóre transporty i jednocześnie wobec licznych patroli niemieckich grał musiał rolę tępego dozorczy domu, zajętego tylko swoimi sprawami. Niestety Niemcom udało się odkryć tunel; natychmiast otoczyli cały blok domów; wszystkich mieszkańców po uprzednim sprawdzeniu ich "aryjskości" wypędzono. Z numeru czwartego wybrano wszystkich mężczyzn i przewieziono na Pawiak.

Janka przesłuchiwali specjaliści z Alei Szucha. Został dosłownie zmasakrowany pałkami i kolbami rewolwerów. Przyrzekano mu wolność, pokazywano woreczek złotych monet zrabowanych Żydom, który stanie się jego własnością, jeżeli poda, kto pomagał przy kopaniu tunelu i wskaże choć jeden adres. Jankę wytrzymał wszystkie tortury, nie wydał nikogo. Został po kilku dniach zastrzelony.

Nie znam jego nazwiska; dla wszystkich, których o nie pytałem, był tylko Jankiem. Żyje gdzieś w Polsce w zapomnieniu żona i dzieci Janka (z placu Muranowskiego 4 wybierano tylko mężczyzn); nikt o nich nie wie, tak samo jak mało osób wie o cichym bojowcu — socjaliście z placu Muranowskiego, bojowcu, dla którego walka warszawskiego ghetta była wspólną walką ze wspólnym wrogiem.

I. G.

PPS przechodziła różne koleje i w zmiennych fazach ruchu przystosowywała się do warunków i konieczności, ale na to tylko, aby przewycięzać je i iść naprzód do swego celu. Były błędy, były zbrocenia, były zamęty, niejedno było zło. Ale naogół polityka PPS była zdrowa i trafna i wskazywała proletariatu polskiemu właściwe i najlepsze drogi wyzwolenia. Walkę klasową zawsze traktowaliśmy nie jako cel, lecz jako konieczny środek wyzwolenia — i nigdy nie zważaliśmy jej do klasowego sobkostwa, do brutalnego egoizmu na usługach najbliższych interesów, lecz przeciwnie, klasowy interes proletariatu podnosiliśmy do godności siły, wywołującej Naród i Ludzkość w imię bezklasowej demokracji pracowników. Burzyliśmy, spiskowaliśmy, urządzaliśmy zamachy, krwawiliśmy się w tytanicznych zapasach — tęskniąc do pracy twórczej, w tym celu, aby stworzyć wolny dla tej pracy, dla budownictwa socjalistycznego teren . . .

PPS ma za sobą wielką przeszłość — przed sobą olbrzymie zadania walki i pracy, które w postępowym pochodzie doprowadzą nas do tryumfu socjalistycznej demokracji u nas i w całym cywilizowanym świecie. Feliks PERL (1923).

FOLKESTONE



Dnia 5 października b.r. w Domu Wypoczynkowym Robotniczego Towarzystwa Turystycznego (*Workers' Travel Association—W.T.A.*) w Folkestone tow. Adam Ciołkosz otworzył 3-cią Centralną Szkołę Robotniczą, zorganizowaną przez T.U.R. w Londynie przy współudziale Komitetu Głównego PPS w Wielkiej Brytanii.

Uczestników zebrała się spora garstka — 25 — w której reprezentowane były wszystkie żyjące pokolenia socjalistów polskich i rozmaite środowiska. Rozpiętość wieku słuchaczy: od 18 do 60 lat. W "ławach szkolnych" zasiadli obok siebie ludzie z dyplomami uniwersyteckimi i starzy działacze związków zawodowych; młodzi chłopcy w mundurach szeregowych i "podtatusiali" oficerowie; b. uczestnicy walki podziemnej w kraju i kombatanci z zachodnich frontów.

Wykłady trwały po 6 do 8 godzin dziennie; w sumie — 51 godzin. Pytania, którymi zasypywano wykładowców, ożywione dyskusje na sali wykładowej, przy posiłkach i na wieczornych spacerach; starannie sporządzane notatki — świadczyły o tym, że Szkoła miała nie biernych uczestników, ale że wszyscy oni brali żywy i czynny udział w jej pracach.

W ciągu ośmiu dni uczestnicy Szkoły wysłuchali wykładów 14 najwybitniejszych polskich prelegentów z dziedziny zagadnień politycznych, społecznych, kulturalnych, narodowościowych, agrarnych, marksizmu, ekonomiki i t.p. oraz 4 wybitnych przedstawicieli brytyjskiego ruchu robotniczego: J. S. Middleton'a (b. sekretarz generalny *Labour Party*), prof. dr. C. A. Smith'a, J. P. M. Millar'a (sekretarz generalny robotniczej organizacji oświatowej — *N.C.L.C.*) i Lincolna Evans'a (sekretarz generalny związku zawodowego hutników), którzy przedstawili dzieje i obecne formy działalności robotniczego ruchu politycznego, zawodowego i oświatowego w Wielkiej Brytanii oraz historię, tradycję i zadania brytyjskiej demokracji. Wykładowcy polscy rekrutowali się zarówno z pośród członków PPS, jak i sympatyków socjalizmu. O poziomie wykładów świadczyć może najlepiej uwaga jednej ze słuchaczek (studentki z Polski), że miała stałe wrażenie, iż bierze udział w seminarium uniwersyteckim.

Niewątpliwą zasługą wykładowców i kierownika Szkoły było, że nie ograniczyli się do dostarczenia słuchaczom pewnego zasobu suchych wiadomości, ale starali się wzbudzić ich zainteresowanie dla postawionych problemów, zachęcić do dalszych studiów nad nimi, dostarczyć tematów dla przemyslenia i dyskusji.

Organizatorzy nawiązali do tradycji Centralnych Szkół Robotniczych, które w latach 1938 i 1939 odbyły się w Jaszczurówce i Szczawnicy i przez które przeszły najcenniejsze jednostki młodego podówczas pokolenia socjalizmu polskiego.* Poziom nauki, nastrój na Szkole w Folkestone i realne korzyści intelektualne, jakie uczestnicy wynieśli, świadczą o tym, że nawiązanie do tej tradycji nie ograniczyło się do nazwy kursu.

Szkoła odbyła się w pięknej nadmorskiej miejscowości południowej Anglii, w doskonale wyposażonym i troskliwie administrowanym domu *W.T.A.* Pogoda przez cały czas dopisywała świetnie. Nie miała jednak Szkoła charakteru wycieczki czy obozu wypoczynkowego, gdyż znamionował ją ciężki i poważny wysiłek intelektualny oraz duża dyscyplina, której poddali się chętnie wszyscy słuchacze, a nawet wykładowcy. Podkreślił to w swoim przemówieniu pożegnalnym gospodarz Domu Wypoczynkowego Mr. F. G. Chaplin, wykazujący zawsze wielką życzliwość dla uczestników Szkoły, mówiąc, że: "Dziwni turyści zjechali się do Domu Wypoczynkowego w Folkestone. Turyści, którzy zamiast kąpać się w morzu, wylegiwać się na słońcu, zwiedzać malowniczą okolicę, całe dni przesiadywali w sali wykładowej; obladowani książkami wpadali do jadalni, by ledwie przelknąć posiłek, wracać do swej pracy". Nie było jednak tak strasznie, bo w przerwach między wykładami starczyło czasu i na odetchnięcie słonym powietrzem morskim i na kąpiel w wodach Kanału La Manche i na zwiedzanie milej miejscowości le niskowej, jaką jest Folkestone, a nawet na odbycie wycieczki do prastarego Canterbury. Stanowiło to jednak tylko miłą oprawę i uzupełnienie ośmiu dni uczciwej i intensywnej pracy intelektualnej.

W obecnych czasach, gdy w szeregach socjalizmu polskiego zabrakło najlepszych i najświetlejszych jednostek, boć przeciw socjalizm polski najobfitszy płacił haracz w walkach na wszystkich frontach wojny, konspiracji i zbrojnej walki wyzwolenczej; gdy dzisiaj najwybitniejsze współczesne postacie PPS znalazły się w więzieniach "Bezpieki" i NKWD; gdy nauki i idee Marxa i Engelsa, Lelewela i Waryńskiego, Limanowskiego i Daszyńskiego fałszowane są i naginane dla doraźnych potrzeb reżymowej propagandy w Polsce; gdy wykrasć się próbuje robotnikom polskim ich czerwone sztandary walki o wolność i sprawiedliwość społeczną; gdy Polskiej Partii Socjalistycznej usiłuje się nawet skonfiskować jej nazwę a przedtem sfalszować jej historię i tradycję — na czoło zadań socjalistów polskich przebywających na obczyźnie wysuwa się *wyszkolenie nowych kadr działaczy robotniczych*, świadomych swych celów i zadań, rozumieją-

cych istotę toczącej się dziś walki z siłami prawicowej reakcji i komunistycznego totalizmu, związanych ideowo z masami robotniczymi w kraju i z tradycją socjalizmu polskiego i Polskiej Partii Socjalistycznej. Zadanie to zrozumieli dobrze organizatorzy 3-ciej Centralnej Szkoły Robotniczej i cel swój osiągnęli. Socjalizmowi polskiemu przybyło dwudziestu kilku działaczy posiadających przygotowanie ideowe i teoretyczne. Oby ta udana impreza stała się wstępem do zakrojonej na szeroką skalę akcji oświatowej nie tylko w szeregach czynnych członków PPS, ale w szerokich masach pracujących polskich na emigracji.

Tow. Ciołkosz, żegnając uczestników Szkoły, przypomniał im, że obowiązkiem ich jako socjalistów jest mówienie zawsze i wszędzie *prawdy i tylko prawdy*. Absolwenci Szkoły będą mogli walczyć o swe ideały prawdą i argumentem, opartym o znajomość zasad i historii socjalizmu oraz podstawowych zagadnień ekonomiki, polityki i kultury.

K. L.

WŁOSKIE POLEMIKI

O "POLSKĄ DROGĘ DO SOCJALIZMU"

Pietro Nenni, przewodniczący fuzjonistycznej Partii Socjalistycznej Włoskiej (*PSI*), razem z Lellio Basso, sekretarzem tej partii, odbył na zaproszenie koncesjonowanej PPS podróż po Polsce w czasie od 26 sierpnia do 5 września b.r.

Nenni, współtwórca z komunistą Togliattim włoskiej "jednolitofrontowości", która zaciążyła tak fatalnie nad losami socjalizmu włoskiego i włoskiej klasy robotniczej — nie dostrzegł tego, że w oficjalnej Polsce "jednolity front" ma zupełnie inne zadania taktyczne, niż we Włoszech. *We Włoszech* — istnieje silna partia komunistyczna z dwoma milionami członków i jedną piątą ogółu swobodnie wybranych posłów w Konstytuancie, a fuzjoniści Nenniego są jakby przyczepką do komunistów; sama partia komunistyczna ma za sobą mocne tradycje przedfaszystowskie z okresu działalności jednego z największych intelektualistów włoskich — Antonio Gramsci. *W Polsce* — nieznanymi PPRowcy dopiero przez wchłonięcie mas członkowskich PPS i przywłaszczenie sobie jej wielkich tradycji chcieliby stać się naprawdę potężną partią. Wiele podstępów i wysiłków i terroru musieli użyć PPRowcy, aby najpierw utworzyć koncesjonowaną PPS, a potem "oczyścić" ją — choćby tylko po wierzchu — z elementów dawnych i niezależnych, z Żuławskim i Pużakiem na czele.

Nenni swój artykuł sprawozdawczy z podróży p.t. "Polska droga do socjalizmu" (w rzymskim "*Avanti*") poświęcił wychwalaniu dobroczynnych skutków "jednolitofrontowości", z oczywistym celem przekonania towarzyszy włoskich, że niezależna partia socjalistów Saragata w ustroju "demokracji postępowej" byłaby zbyt słaba. Na artykuł Nenniego, który zbył milczeniem z jednej strony uwzięciem Pużaka i tow., a z drugiej strony wymowne zwycięstwo PPSowców (naprawdę nie-fuzjonistów) w wyborach do władz związków zawodowych, odpowiedziała "*Umanita*", dziennik Partii Socjalistycznej Robotników Włoskich (*PSLI*), ukazując polityczną wymowę tych faktów. Odpowiedź ta, napisana przez redaktora Basilio Cialdea i zatytułowana: "W Polsce Nenni nie dostrzegł dramatu socjalizmu" ukazała się w numerze "*Umanita*", poświęconym sprawozdaniu z pierwszego ogólnokrajowego zjazdu *PSLI*, który postawił na naczelnym punkcie porządku dziennego zagadnienie socjalistycznego kierownictwa rządu.

Jednocześnie tow. Saragat w swej programowej mowie na zjeździe stwierdził, że tylko Nenni uważa za idealną tę tragiczną sytuację, w której socjaliści w krajach strefy sowieckiej walczą o zachowanie i rolę polityczną socjalizmu. Aby nie dopuścić do powtórzenia się we Włoszech sytuacji polskiej czy greckiej, *trzeba skupić wokół prawdziwego i niezależnego socjalizmu siły lewicowe, republikańskie i demokratyczne*. Albo — trzeba przestać, jak to uczynił Nenni, wierzyć w odrębną funkcję socjalizmu.

Z kolei Nenni w artykule "Droga kłęski" zaatakował Saragata i Cialdea. Nie podejmując polemiki w sprawie roli niezależnego socjalizmu, Nenni zarzucił Saragatowi, Cialdea i socjalistom polskim na emigracji, że powtarzają oni bezużytecznie błąd heroicznego *WRN*: walki na dwa fronty. Jak *WRN* walczył przeciwko i Niemcom i Rosji — pisze Nenni — i tym samym zlikwidował swoją rolę w Polsce wyswobodzonej przez Armię Czerwoną i zaprzysiężonej ze Związkiem Radzieckim, tak teraz i oni chcieliby walczyć i przeciwko prawicy i przeciw komunizmowi jednocześnie. Tymczasem w walce niema dramatów ani tragedii sumienia — są tylko sojusznicy i wrogowie, i tylko jednolity front z komunistami umożliwił budowę socjalizmu w Polsce i umożliwił ją we Włoszech. Kto nie umie wybrać sobie naturalnych sojuszników — twierdzi Nenni — ten wybiera drogę kłęski.

Dyskusję zamknął tow. Basilio Cialdea artykułem p.t. "Herold Kłęski" w "*Umanita*". "Prawdziwa walka socjalistów polskich, tych socjalistów, których Nenni w Polsce nie dostrzegł, nie jest tą naiwnie opisaną przez niego walką przeciw reakcji już pokonanej. Jest nią walka decydująca o wolność w socjalizmie, przeciw dyktaturze nad socjalizmem i nad klasą robotniczą. Niezależni socjaliści polscy nie są donkiszotowskimi bohaterami, którzy podejmują walkę na dwa fronty; są oni prawdziwymi przyjaciółmi Rosji, dopóki Rosja a za nią PPR chcą w pełni uszanować wolność i niepodległość Polski. Ale nie mogą oni wplątywać się w awanturę fuzjonizmu, który prowadzi do unicestwienia właśnie tej drogi socjalizmu, na której tak Nenniemu zależy. PPS (koncesjonowana — dopisek tłumacza), pełna energii życiowej, gorzko płaci teraz za swe dawniejsze iluzje co do możliwości sojuszu z komunistami (tu autor czyni aluzję do obszernego artykułu w "*Umanita*" o sytuacji socjalizmu polskiego w kraju i na obczyźnie p.t. "Socjalistyczne awangardy demokracji niszczone przez wschodni totalizm"). Aby być sojusznikami — pisze dalej Cialdea — *trzeba obopólnie dotrzymywać zobowiązań i obopólnie uznawać odrębne funkcje kontrahenta; sojusznik, który tego nie czyni, staje się despotycznym tyranem*. Tak jednak komuniści w Polsce i gdzieindziej pojmują ten sojusz, którego heroldem stał się Nenni. Jedność i sojusz, który głosi Nenni, jest szykiem wojennym, *prowadzącym do izolacji proletariatu*; w obecnej sytuacji międzynarodowej oznacza on wybranie drogi kłęski, drogi prowadzącej prosto do trzeciej wojny światowej. Niech zapozna się Nenni z wyborami do związku zawodowego kolejarzy warszawskich; zrozumie wtenczas, że "drogi do socjalizmu nie poszukuje się w towarzystwie tych, którzy iść nią nie chcą, a bojąc się konkurencji niszczą — gdy nadarzy się ku temu sposobność — tych, którzy nią idą".

sz.

NACJONALIZACJA W WIELKIEJ BRYTANII



SIR STAFFORD CRIPPS
mianowany został ministrem
spraw gospodarczych.

wyjątkową brytyjską umiejętność wyszukiwania — a także stosowania w życiu — praktycznych, "niepryncypialnych" rozwiązań.

PIENIĄDZ I KREDYT.

Sztab generalny armii, któryby — powiedzmy — chciał z najmniejszym nakładem energii i w sposób najmniej dokuczliwy opanować jakiś teren — zdecydowałby się zapewne przede wszystkim na obsadzenie wszystkich linii komunikacyjnych. Tak też kto pragnie posiadać wpływ decydujący na gospodarstwo danego kraju, musi przede wszystkim opanować jego linie komunikacyjne. Linie komunikacyjne mamy tu na myśli nie tylko dosłownie, ale i w przenośni; system pieniądza i kredytu jest właśnie bardzo ważną linią komunikacyjną gospodarstwa, przy jego pomocy bowiem "przesyła się" najróżniejsze dobra od wytwórcy do spożywcy, przy jego pomocy przenosi się — jak mówimy — siłę nabywczą od jednych osób do drugich w postaci plac, cen, zysków itd.

To też zrozumiałe jest, że uspołecznienie gospodarstwa musi się zacząć od t.zw. banku banków, czyli głównej instytucji pieniężno-kredytowej, która dzięki bardzo skomplikowanemu mechanizmowi ma w nowoczesnych społeczeństwach faktyczną (w dużym stopniu zresztą i na prawnej wyłączności opartą) możliwość dyrygowania ruchem pieniądza i kredytu. Tym "bankiem banków" w Wielkiej Brytanii jest Bank Anglii. Bank ten w ciągu 2 i pół wieku rozwijał się jako instytucja prywatna; kierownictwo banku, nieodpowiedzialne wobec kraju, było "szarą eminencją" brytyjskiej polityki gospodarczej, a w pewnym stopniu także — polityki ogólnej.¹ Ale już w ciągu ostatnich kilkunastu lat, zwłaszcza zaś podczas II-ej wojny światowej, wymagania życia poddawały Bank coraz bardziej faktycznej władzy ministra skarbu. Upaństwowienie, dokonane w marcu 1946 r. (Bank of England Act) zakończyło wreszcie ten naturalny proces: obecnie i własność i kierownictwo spoczywają w ręku państwa. Rząd wyznacza dzisiaj i kontroluje władze banku, które tym samym — poprzez gabinet — odpowiedzialne są za swe działania przed parlamentem. Minister skarbu ma prawo wydawania — w razie potrzeby — poleceń Bankowi Anglii, zaś Bank Anglii ma takie same prawo w stosunku do banków akcyjnych.

¹ Nieżyjący już dzisiaj, słynny bankier Reginald McKenna oświadczył w r. 1924: "Ci, co kontrolują kredyt narodu, kierują polityką rządów i mają w swych rękach przeznaczenie narodu."

TRANSPORT ŚRÓDLĄDOWY.

Obok linii komunikacyjnych w znaczeniu przenośnym, skuteczna kontrola życia gospodarczego wymaga także opanowania komunikacji w sensie fizycznym. Transport w Wielkiej Brytanii rozwijał się w ciągu stulecia na zasadach wolnej konkurencji. Istniała ogromna ilość przedsiębiorstw kolejowych, autobusowych i innych, a już przez to samo brakło w ich zespole i działaniu ogólnej linii, któraby zapobiegała marnowaniu zasobów społecznych. To też gdy przysłała I-a wojna światowa — państwo, w interesie skoncentrowania wysiłku musiało ingerować bezpośrednio; zostały utworzone cztery "zgrupowania" przedsiębiorstw kolejowych, a ich działalność została poddana ogólnemu nadzorowi. Jeszcze zresztą przed tem wolna konkurencja została faktycznie wyłączona na śródlądowych drogach wodnych wskutek wykupienia ważniejszych kanałów przez linie kolejowe. W okresie międzywojennym — państwo wkroczyło także w komunikację drogową, porządkując w interesie publicznym sieć autobusów i przewozu towarów. II-a wojna światowa naadała już państwu omal że pełnię kontroli nad całością transportu, i znów nacjonalizacja uwieńczyła już tylko proces z dawną trwający. Na podstawie ustawy nacjonalizacyjnej państwo przejmie z dniem 1 stycznia 1948 na własność przedsiębiorstwa kolejowe ze wszystkim, co one posiadają, a więc z należącymi do nich urządzeniami portowymi, z liniami okrętowymi zwłaszcza obsługującymi połączenia przybrzeżne, kanał la Manche i Irlandię, z hotelami, z udziałami w przedsiębiorstwach autobusowych, z zakładami budowy i naprawy taboru kolejowego itd. W tym samym terminie państwo przejmie kanały i wogóle całość urządzeń śródlądowych dróg wodnych. Z pewnymi zastrzeżeniami uległ nacjonalizacji także dalekobieżny samochodowy przewóz towarowy. Nowe państwowe przedsiębiorstwo komunikacyjne posiadać będzie z górą 50.000 mil torów (mila angielska = 1,609 km), 20.000 parowozów i około 700.000 wagonów, urządzenia autobusowe wartości 10 milionów funtów szt., hotele wartości 10 milionów, urządzenia portowe wartości 70 milionów funtów itd. Przedsiębiorstwo to jest prawdziwym "mamutem" i należy chyba do największych wogóle na świecie. Ubocznie zauważmy, iż przejmując na własność koleje, naród brytyjski stał się zarazem jednym z największych "obszarników" w kraju.

Poprzednio (1946 r.) została już znacjonalizowana całość komunikacji lotniczej; zorganizowano ją w postaci trzech korporacji, których właścicielem jest państwo.

WĘGIEL.

Dla najróżniejszych powodów, sprawą jeszcze pilniejszą niż nacjonalizacja systemu komunikacyjnego, stało się w warunkach brytyjskich uspołecznienie kopalnictwa węglowego. Węgiel jest w Wielkiej Brytanii podstawowym "praszurkowcem" energetycznym; lwią część mocy popędowej, poruszającej warsztaty pracy w Wielkiej Brytanii, opiera się na nim. Położenie ręki na węglu nasunęło się więc samo przez się, jako skuteczny środek "dyrygowania" gospodarstwem. Ale także i inne względy musiały tu decydować. Kopalnictwo brytyjskie w ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci lat poczęło objawiać wyraźne tendencje ku upadkowi. Przed I-ą wojną światową wydobyte było blisko 300 milionom ton, z czego 100 milionów szło na wywóz. Pod koniec II-ej wojny światowej — produkcja spadła o 1/3, to jest do poziomu poniżej 200 milionów, ponieważ zaś jednocześnie wzrosło spożycie wewnętrzne, przeto eksport węgla, jedno z głównych źródeł płatności zagranicznych Wielkiej Brytanii, wysechł. Wielu skłonnych jest przypisywać ten stan rzeczy rozwojowi kopalnictwa na podstawie prywatnych monopolów wydobywania, które "rozparcelowały" górnictwo na drobne, nieekonomiczne jednostki (w r. 1943 około 750 towarzystw). Nieekonomiczność tych jednostek zmuszała je częstokroć do krótkowzrocznej eksploatacji przy zupełnym — często karygodnym — zaniedbaniu technicznego wyposażenia kopalń.² Z kolei ten brak technicznego uposażenia czynił doł górnika stosunkowo cięższą w tak nowoczesnym społeczeństwie jak brytyjskie. Stąd znów ucieczka ludzi z górnictwa; w ciągu 35 lat — około 1/3 robotników opuściła ten zawód. Ponadto w rzeczach górniczych wytworzył się szczególnie silny nastrój niechęci do przywzrostu właściciela. Ten bodaj nastrój sprawił, iż program wyborczy Labour Party w r. 1945 wysuwał na czoło właśnie uspołecznienie przemysłu węglowego. Co prawda niejeden trzeźwy obserwator musiał zdawać sobie sprawę, iż górnictwo stało się chorobą gospodarstwa i że "kupowanie" choroby jest zadaniem zgola niewdzięcznym; tok ostatnich wypadków potwierdził teraz po części trafność tych głosów; wzięcie w pierwszej kolejce na swe barki dziedzictwa prywatnej gospodarki węglem, w trudnym okresie przejściowym po II-ej wojnie światowej, daje się poważnie we znaki rządowi socjalistycznemu. Tym nie mniej, innej drogi do uzdrowienia przemysłu węglowego, jak nacjonalizacja — nie było.³

ELEKTRYCZNOŚĆ.

Centralne, uspołecznione kierownictwo ekonomiki współczesnej może sprawować dzisiaj ten, kto obok pra-źródła energii: węgla, bodaj że w stopniu jeszcze wyższym rozporządza samą energią w jej najważniejszej postaci, t.j. w postaci elektryczności. Od samego jej powstania produkcja i dostawa elektryczności dość chaotycznie dzieliła się tutaj między "rękę publiczną" i przedsiębiorstwa prywatne. Nasunęło to najróżniejsze trudności, rozwiązywane systemem łataniny, która nie zapobiegła jednak parafialnemu systemowi elektryfikacji kraju. Zarówno produkcja jak i konsumpcja straciły wiele na racjonalności swych kalkulacji. Wystarczy dla przykładu powiedzieć, że cenik taryfowy około 600 rejonów dystrybucyjnego prądu rozróż się do objętości wielkiego tomu londyńskiego skorowidza telefonicznego. W połowie lat 1920-ych już było powszechnie uznane, że brytyjski system elektryfikacji pozostaje w tyle za systemami innych krajów. Chaos, jaki się wytworzył, próbowano opanować (rok 1926 i następane) za pomocą centralizacji jeżeli nie własności, to przynajmniej organizacji; już ta centralizacja dała bardzo pomyślne wyniki, obniżając

² Sprawozdanie królewskiej komisji dla przemysłu węglowego, pod przewodnictwem sędziego (obecnie lorda) Sankley'a, z dnia 20 czerwca 1919 r., zamykało się następującymi zaleceniami: 1. by parlamentowi przedłożono bezwzględnie wniosek o nabycie przez państwo uprawnień do wydobywania węgla (Coal Royalties) za słusznym i sprawiedliwym odszkodowaniem dla właścicieli, 2. by przyjęta została zasada własności państwowej kopalń węgla. Sprawozdanie techniczne komisji doradczej Reid'a (marzec 1945), opracowane przez dyrektorów i techników górniczych, przyniosło szereg alarmujących danych, wykazujących rujnąjącą gospodarkę w górnictwie węglowym. Sprawozdanie to odegrało wielką rolę w urobieniu przekonania wśród mas wyborców, iż nacjonalizacja górnictwa jest nieodzowna.

³ Wedle planu 16 państw europejskich (t. zw. plan Marshall'a) brytyjska produkcja węgla ma wynieść w 1947 r. 199 milionów ton, w 1948 r. 214 milionów ton, w 1951 r. 249 milionów ton.

ogromnie koszty i cenę prądu; stworzyła pas elektryfikacyjny 5.000 mil linii transmisyjnych i 350 stacyj prądu; w ten sposób gałąź elektryfikacyjna dojrzała do bezbolesnej operacji uspołecznienia, która stała się faktem w r. 1947. W ślad za elektrycznością uspołeczniiony zostanie gaz jeszcze w ciągu bieżącej sesji Izby gmin.

HUTNICTWO.

Ograniczając zasięg nacjonalizacji do koniecznego minimum — w obecnej fazie uspołeczniania produkcji państwo nie rusza przemysłów przetwórczych, nawet tak potężnych w tym kraju, jak np. włókiennictwo. Ale jest jeden niby-przetwór, który ma znaczenie prawdziwie strategiczne. Tym niby-przetworem są *żelazo i stal, podstawowe tworzywa każdej współczesnej ekonomiki*. By zrozumieć, co znaczą one dla gospodarstwa — wystarczy rozejrzeć się wokół siebie w mieszkaniu, w biurze, w fabryce, na ulicy — wszędzie wytwory hut są kośćcem całego materialnego sprzętu naszej cywilizacji. Dlatego klasa robotnicza Wielkiej Brytanii domaga się nacjonalizacji hutnictwa; przyrzekała ją też solennie *Labour Party* w swej platformie wyborczej ("*Let us face the future*", 1945). Jednakże w międzyczasie nasunęły się i ujawniły ogromne trudności. Hutnictwo, w odróżnieniu od kopalnictwa, jest gałęzią pracującą dzisiaj ekonomicznie i dlatego argument pilności działa tu o wiele słabiej. Dalej — produkcja hut jest mniej standaryzowana. Jest ona bardziej niż n.p. produkcja węgla indywidualna i dlatego nadmierna centralizacja może tu dać pewne ujemne następstwa; dotyczy to zwłaszcza wywozu, w którym marki poszczególnych zakładów i wyrobów mają ustaloną reputację. Co jednak najważniejsze — to chyba to, że obecne przesilenie ekonomiczne skłania do zwolnienia tempa przebudowy ustrojowej, która sama przez się musi nieuchronnie pochłonąć wiele wysiłku. Dlatego rząd zapewniając nacjonalizację hutnictwa w ciągu kadencji obecnego parlamentu (a więc przed rokiem 1950) ostatecznie zdecydował się odroczyć ją na razie. Stanowisko jego znalazło pełne zrozumienie u klasy robotniczej, co uwidoczniło się na ostatnim kongresie *TUC* w Southport. Ustawa o nacjonalizacji hutnictwa będzie przedłożona Izbie gmin zapewne w jesieni 1948 r. W międzyczasie zaś zamierza rząd przeprowadzić reformę uprawnień Izby lordów, tak by nie mogła ona swem *vetu* dłużej jak przez rok powstrzymać wejścia w życie ustaw, uchwalonych przez Izbę gmin; po takim ukróceniu uprawnień Izby lordów, nie potrafi już ona przewlec nacjonalizacji hutnictwa poza bieżącą kadencję parlamentu.

ODSZKODOWANIE DLA WYWŁASZCZONYCH.

Przeprowadzając nacjonalizację, rząd *Labour Party* przestrzegał zasady odszkodowania, o ile chodzi o dawnych właścicieli. Posiadacze akcji Banku Anglii (14 i pół miliona funtów szt. nominalnej wartości) otrzymali jako zapłatę papiery dłużne (obligacje) skarbu państwa na kwotę 4-krotnie wyższą. Wartość przejętego transportu wynosi fantastyczną kwotę z górą miliarda; własność kolei jest przytem o tyle rozdrobiona, iż akcje ich należą do z górą miliona posiadaczy. W myśl układu zawartego w czasie wojny 1939—45, koleje administrowane przez państwo miały przynosić 43 miliony funtów zysku rocznie. Obecnie dawni posiadacze akcji będą mieli od obligacji skarbowych, jakie otrzymają, 25 milionów funtów "murowanego" dochodu rocznego. Po przeprowadzeniu stosownych oszacowań, także właściciele kopalni otrzymają wynagrodzenie w obligacjach państwowych, z których będą czerpać niezgorsze odsetki. I tak dalej. W ten sposób można określić nacjonalizację nie tylko jako uspołecznienie środków produkcji, ale także jako "spensjonowanie" klas posiadających, których funkcja społeczna stopniowo wygasa. Członkowie tych klas i ich potomkowie oczywiście mogą pozostać członkami nowego społeczeństwa. Taki jest sens socjalny bezkrwawej rewolucji brytyjskiej. Uzupelnia ją jeszcze jeden bezkrwawy środek tej rewolucji — *opodatkowanie*, które w zakresie pożytecznym dla społeczeństwa ogranicza zyski z pensyj, jakie kraj płaci w postaci odsetków od obligacji, wydanych właścicielom znacjonalizowanych przedsiębiorstw.

HISTORYCZNY EKSPERYMENT.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednym jeszcze aspekcie procesu, który obserwujemy. Jest on *próbą budowania socjalizmu demokratycznego na skalę dotychczas niespotykaną w historii*. Dlatego ma on w dużym stopniu charakter eksperymentu. Tyczy się to zwłaszcza organizowania przejętego aparatu wytwórczego na zasadach, które zapewnią z jednej strony nadzór władzy publicznej z parlamentem na czele, z drugiej — dadzą wystarczającą giętkość administracji oraz sprawność "kupiacką" i zapobiegną wielkiemu wrogowi własności społecznej — biurokratyzacji. Próbnymi zapewne są te aparaty, jakie powstały w kopalnictwie, transporcie, elektryczności; stąd błędy są nieuniknione (takie jak n.p. ujawniły się ostatnio w działalności Izby Węglowej — *National Coal Board* — na tle dzikich strajków). Ale właśnie istota eksperymentu polega na tym, że jest on zarazem *wielką szkołą życia*. Nie wolno wątpić, że — jeśli chodzi o Wielką Brytanię — jest on *jedyną* drogą doskonalenia się i że da on też wyniki coraz bliższe rozwiązaniu możliwie, po ludzku doskonałym.

Al.

OD REDAKCJI

Dobiega końca rok naszej pracy. Wznawiając "*Robotnika Polskiego w Wielkiej Brytanii*" chcieliśmy być rzecznikami socjalizmu polskiego w zmienionych, trudnych warunkach życia na obczyźnie; zarazem pragnęliśmy związać z sobą duchowo socjalistów polskich wiernych starym sztandarom PPS, rozrzuconych dziś po całym świecie. Cel ten osiągnęliśmy. Powiodło nam się pozyskać duży zastęp współpracowników, którzy zapewнили naszemu piśmie właściwy poziom i pełny wydźwięk socjalistyczny. Dzięki temu udało nam się zjednać sobie stosunkowo znaczną rzeszę czytelników, którzy nie szczędzili nam słów uznania i zachęty.

Dziś stają przed nami nowe zadania. Musimy zaspokoić potrzeby szerokiej rzeszy robotników polskich, którzy znaleźli zatrudnienie w Wielkiej Brytanii. W związku z tym, z dniem 1 stycznia 1948 r. pismo nasze przybierze charakter ściśle związany z życiem robotników polskich w Wielkiej Brytanii i z zagadnieniami ich pracy. Cena pojedynczego zeszytu (przy zmniejszeniu objętości zostanie znacznie obniżona, co winno umożliwić masowy kolportaż "*Robotnika*").

Zarazem zachęcamy czytelników naszych, którzy dotychczas na łamach naszego pisma śledzili zagadnienia teorii i praktyki polskiego i międzynarodowego ruchu socjalistycznego, by równocześnie z piśmie naszym nabywali "*Swiatło*", pismo społeczno-literackie, które pod rozszerzoną redakcją ukazywać się będzie nadal w Paryżu — od stycznia 1948 r. jako miesięcznik.

Z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku zasylamy wszystkim naszym Współpracownikom i Czytelnikom serdeczne życzenia, wraz z podziękowaniem za okazaną życzliwość i poparcie.

Redaktor: Adam Ciołkosz.

Sprostowani. Do poprzedniego numeru naszego pisma zakradła się przykra omyłka: Quasi-modo jest postacią z "Dzwonnika z Notre Dame" Wiktora Hugo, a nie z "Nędzników", jak mylnie podano na str. 7 w odnośniku 3 do artykułu "Zemsta Gaji". Ponadto w artykule "Ubezpieczenia społeczne w Polsce dzisiaj" na str. 3, lam 1, wiersz 55, w wykazie oddziałów Z.U.S. należy skreślić Warszawę i wstawić Gdańsk.

SIDNEY WEBB

Sidney Webb (Lord Passfield) zmarł 14 października o.r. w 88-ym roku życia. Anglicy nie lubią celebrować pogrzebów, wobec zjawiska śmierci zachowują milczenie, które uważają za najgłębszy przejaw żałoby. To też prasa brytyjska, nawet socjalistyczna, poświęciła pamięci Webba dość zwężle wzmianki, nieproporcjonalnie skąpe w stosunku do znaczenia i roli, jaką odegrał Webb w dziejach ruchu socjalistycznego. Był to bowiem jeden z tych, którzy są dobozami ruchu i przywódcami duchowymi.

Gdy się mówi o Sidney Webbie, nie można pominąć faktu, że dwoił się on w pracy, mając przy swym boku nieustrudzoną towarzyszkę życia i pracę — żonę swą *Beatrice*, która zmarła w r. 1943. Po jej śmierci Sidney przestał pisać i właściwie uważał się za emeryta. Było to małżeństwo — spółka naukowa i pisarska, spółka dwojga wybitnych działaczy socjalistycznych; trudno było by rozróżnić, który ze współników wniósł tu większy aport zdolności, energii i twórczego entuzjazmu. Dwa pokolenia socjalistów brytyjskich wychowywały się pod bezpośrednim lub pośrednim wpływem magicznego uroku, jaki wywierała ta spółka uczonych. Nie było dziedziny życia publicznego, której by nie poddali badaniom Webbowie, otoczeni sztabem pomocników, uczniów, przyjaciół i towarzyszy z *Fabian Society*, *Trade Unionów* lub *Labour Party*. Socjaliści wszystkich krajów wierzą w depersonifikację, w pracę zespoloną, to też trudnym byłoby zadaniem wyeliminować z bogatego dorobku brytyjskiego socjalizmu to, czego dokonał w bezimiennym trybie zbiorowej pracy zbiorowej Webb oraz jego małżonka. W każdym razie nawet to, co nosi na sobie autorski stempel Webbow, idzie w dziesiątki tomów.

Webb był erudytą i encyklopedystą. Zaczął jako młody człowiek od samokształcenia się i wszechstronnej lektury w *British Museum*. Jako skromny urzędnik skarbowy, stale zresztą awansujący i zdający liczne egzaminy, pogłębiał swe studia, uważając je za podstawę wszelkiej działalności politycznej. Gdy doszedł w swej karierze do *London County Council*, nie zadowolił się aspiracjami t.zw. "*gas-and-water*"-socjalizmu, jak maksymaliści socjalizmu nazywali socjalistów-samorządowców. Przyjaciel Webba, G. Bernard Shaw tak pisze o nim jako o 26-letnim młodzieńcu biorącym udział w dyskusjach publicznych:

"Wiedział on wszystko o przedmiocie dyskusji. Wiedział więcej niż prelegent, niż każdy z obecnych; przeczytał on wszystko, co dotychczas było napisane w tym przedmiocie i pamiętał wszystkie fakty, dotyczące zagadnienia".

Można Webbowi zarzucić, że w pogoni za encyklopedycznymi i w polowaniu na fakty i dane statystyczne mniej miał czasu na wzbogacanie teorii socjalizmu. Zarzut ten jednak byłby niesłuszny, jeśli zważymy atmosferę rodzącego się praktycznego socjalizmu brytyjskiego. Bodaj najlepiej na wątpliwości co do Webba odpowiada Hugh Dalton w swej ciekawej książce p.t. "*Practical Socialism for Britain*" (1935). Pisze on:

"Partie socjalistyczne w większości innych krajów wywodzily się przeważnie od Marxa. Wpływy Marxa u nas były małe. My wywodzimy się, jeśli wogóle wywodzimy się od pisarzy, głównie ze źródeł rodzimych, od Benhama i Owena, Morrisa i Ruskina, Blatchforda, Webbow i Shawa... W mniejszym stopniu pochodzimy od słowa pisanego niż mówionego, mniej z ustematyzowanej myśli niż z działalności empirycznej".

Tak jest, cała działalność Webba ogniskowała się właśnie dokoła empiryki. Największą jego zasługą było to, że w swych pismach, rozprawach, broszurach i przyczynkach ten niezmordowany encyklopedysta zebrał olbrzymi arsenał faktów i liczb, postulatów i metod, które zapłodniły wyobraźnię zarówno teoretyków, jak i praktyków socjalizmu brytyjskiego — i nie tylko brytyjskiego.

Do kapitalnych dzieł Webbow należą: "*The History of Trade Unionism*", "*Industrial Democracy*", "*A Constitution for the Socialist Commonwealth*", "*English Poor Law History*" i "*Soviet Communism*".

Zagadnienia socjalizmu i demokracji, kapitalizmu i imperializmu, metody badań zjawisk społecznych, problemy samorządu, opieki społecznej, ubezpieczeń społecznych i polityki społecznej, związków zawodowych i spółdzielczości — oto niepełny katalog tematów, nad którymi pracował Webb. Był on jednym z promotorów *Fabian Society*, tej wielkiej szkoły socjalistycznego myślenia w Wielkiej Brytanii, był "*magna pars*" w tworzeniu zrębów *Labour Party*, był założycielem *London School of Economics* i tygodnika "*New Statesman and Nation*".

Istnieje w terminologii socjalizmu termin "marksizm"; można byłoby się pokusić o sformułowanie terminu "*webbizm*", który zdefiniować można, jako dążenie do stworzenia społeczności socjalistycznej w sposób stopniowy ("gradualizm") drogą szkolenia oświeconych kadr administratorów i działaczy społecznych, drogą podnoszenia poziomu uświadomienia mas pracujących, drogą wprowadzania socjalizmu do coraz to wyższych komórek hierarchii społecznej, kończąc na aparacie rządowym. Webb liczył się z zastaną rzeczywistością gospodarczą i polityczną. Jego przyjaźń z ówczesnymi czołowymi liberałami (Lloyd Georgem i Churchillem) była miarą jego przekonania o "gradualizmie" brytyjskiego socjalizmu. "Nie ma wrogów wśród postępców" — zdawało się być jego hasłem. Szczerze wierzył, że analiza zastanej rzeczywistości i wyprowadzanie wniosków z tej analizy, nie zaś światoburstwo i budowanie wszystkiego od podstaw, jest jedyną drogą, na której dojść można do realizacji socjalizmu.

Wielkim wstrząsem był dla Webba upadek pierwszego rządu Ramsay MacDonalda (1924). Zaczyna zamykać się w sobie, rewidować swe poglądy, ulegać sceptycyzmowi. Na jesień jego życia, po tylu zawodach przypadają studia nad sowieckim komunizmem, uzupełnione podróżą do Rosji i ukoronowane wydaniem dzieła p.t. "*Soviet Communism*" (1934). W pracy tej Webbowie chwala ustrój sowiecki, widzą przed nim przyszłość, nie zdradzają niepokoju — choć byli przed tym usposobieni bardzo krytycznie wobec eksperymentu sowieckiego; owszem, nawet usiłują wytłumaczyć (w niezbyt zręczny sposób) sowiecką dyktaturę i parodię demokracji. Tylko daleko posunięty apersonalizm brytyjskiego ruchu socjalistycznego sprawił, że ostatnia praca Webbow nie zwichnęła kręgosłupa socjalizmu brytyjskiego. Webbow pilnie czytano, ale prócz nich były i inne odmienne źródła informacji o Sowietach.

Zmarł Webb w okresie trudnym, ale radosnym; *trudnym*, bo powojenna odbudowa świata utyka i natrafia na liczne przeszkody, z których niewątpliwie jedną z głównych jest polityka chwalonej przez niego Rosji sowieckiej wobec rządów i stronnictw socjalistycznych. Jest to zarazem okres *radosny*, bo gdy umierał, widział Webb przy władzy w Brytanii rząd socjalistyczny, składający się z jego uczniów i z uczniów jego uczniów.

P. B.

SAMORZĄD LONDYNU

Administracja samorządowa zdobyła sobie powszechne uznanie jako niezaprzeczalnie dodatnia pozycja w kształtowaniu życia społeczno-gospodarczego całych społeczeństw. Rozwój samorządu, rodzaj i rozmiary jego zadań, obok spójności i niezależnego ruchu zawodowego są wskaźnikami, a nawet synonimem *demokracji*, to jest koncepcji stawiającej na człowieka, jego szlachetne pierwiastki i konstruktywne walory.

Samorząd terytorialny odgrywał znaczną rolę w okresie gospodarki liberalnej. Spodziewać się jednak należy spełnienia przez samorząd jeszcze większej roli w obecnym okresie kształtowania się gospodarki centralno-planowej, gdyż forma gospodarki samorządowej potrafi złagodzić, zapobiec lub wręcz rozładować niebezpieczeństwo scentralizowania dyspozycji i władzy w gronie niewielkiej liczby osób.

RYS HISTORYCZNY.

W Anglii formy gospodarki samorządowej tworzyły się częściowo, narastały ewolucyjnie. Pierwsze przejawy samorządu (uwzględniając warunki epoki) wybiegają jeszcze w okres średniowiecza; niektóre instytucje samorządowe tkwią swymi korzeniami w tych odległych okresach czasu. *Przyspieszony rozwój gospodarki samorządowej przypada na wiek XIX*. Obecne formy skryształizowały się dosłownie w ostatnich latach przed drugą wojną światową, lecz oczywiście należy się spodziewać, że podlegać one będą dalszym procesom ewolucyjnym, dalszym zmianom, których zapowiedź znajdujemy w różnych programach reform wysuwanych między innymi przez rządzącą obecnie *Labour Party*.

Samorządy terytorialne rozwinęły się na podstawie pewnych przywilejów nadanych jeszcze w średniowieczu przez króla. Instytucje powszechnego samorządu biorą początek od czasów elżbietańskich (koniec XVI i początek XVII w.), kiedy to na mieszkańców danych obszarów włożono obowiązek utrzymania dróg, a następnie powołano samorząd parafialny, któremu przekazano sprawę opieki nad biedną ludnością (*Poor Law*). Kontrola tej pierwotnej gospodarki samorządowej powierzona była sędziom pokoju, powołanym przez króla. Co prawda samorząd ten do XVIII wieku nie był bardzo ożywiony i skuteczny. *Posiadał on wiele wad*. Sfery uprzywilejowane największy kładły nacisk na uprawnienia nadane samorządom w dziedzinie politycznej, a mianowicie prawo wyboru przedstawicieli do parlamentu.

W XIX wieku, podobnie jak i w innych dziedzinach życia, nastąpiły wielkie zmiany na odcinku samorządowym. Obudził się nowy duch w społeczeństwie i przejawiała się większa aktywność w sprawach publicznych. Cios, jaki spadł na Anglię w postaci epidemii cholery w r. 1831, przyczynił się do stworzenia *Centralnego Urzędu Zdrowia*, który zajął się sprawami zdrowotnymi. W r. 1834 została zreformowana organizacja opieki nad biednymi. Zgrupowano wiele parafii w specjalne związki. Każdy z tych związków wybrał *urząd opiekunów* (*Board of Guardians*). Nad tymi urzędami centralną kontrolę wykonywał specjalny organ pełnomocników (*Commissioners*). W związku z rozwojem gospodarczym Anglii konieczne było zajęcie się sprawami, nieodłącznymi od spraw gospodarczych, jak *naprawa dróg, budowa ulic, oświetlenie ulic, wprowadzenie lepszych warunków zdrowia, bezpieczeństwo, zaspokojenie potrzeb nauczania*. Jednakże te wszystkie zadania powierzano nie organom administracji samorządowej, lecz specjalnym organom, których kompetencje miały różny zasięg terenowy, co prowadziło do wielkiego zamieszania, różnych powikłań i trudności w zaspokojeniu potrzeb mieszkańców. Inny bowiem był zasięg terytorialny urzędów i instytucji zajmujących się oświatą, inny — drogami, a jeszcze inny — zdrowiem publicznym. Natomiast wszystkie te instytucje na własną rękę nakładały na obywateli różne podatki i opłaty.

W połowie XIX wieku samorząd nabrał cech powszechności przez oparcie administracji na czynniku pochodzącym z wyborów ludowych. W końcu XIX wieku zaczęła się krystalizować i upraszczać struktura samorządu. W roku 1871 powołano specjalny *Urząd Administracji Samorządowej*, jako centralny departament państwowy dla nadzorowania gospodarki samorządowej. W roku następnym kraj został pod względem administracji sanitarnej podzielony na obszary wiejskie i miejskie. W roku 1882 zostały zreformowane samorządy miejskie o charakterze miast wydzielonych a ich kompetencje zostały dostosowane do ówczesnych potrzeb. W roku 1888 została stworzona administracja o charakterze wojewódzkim (*County*) z wyposażeniem większych miast w kompetencje administracji wojewódzkiej. Władze (*Councils*) każdego z tych związków samorządowych oparte już były na wyborach powszechnych. W roku 1894 powołano powiatowe rady (*District councils*) miejskie i wiejskie, bazując je na poprzednich obszarach administracji sanitarnej. Pozatem zostały zmodernizowane organizacje parafialne. W roku 1902 nauczanie publiczne podległo reorganizacji i powierzone zostało administracji samorządowej. W roku 1929 zostały zniesione urzędy i związki opiekunów, a zadania te przejął również samorząd.

RODZAJE ZWIĄZKÓW SAMORZĄDOWYCH I ZAKRES ICH DZIAŁALNOŚCI.

W roku 1919 został zniesiony urząd administracji samorządowej i kompetencje jego w postaci nadzoru nad samorządem przeszły na *Ministerstwo Zdrowia*. W roku 1933 dokonano kodyfikacji przepisów dotyczących organizacji samorządowej, które odtąd przewidują następujące typy związków samorządowych:

- (1) *County Councils* — coś jakby w rodzaju samorządu wojewódzkiego, obejmującego teren o ludności odpowiadającej kilku powiatom w Polsce. Istnieją 62 *County Councils*. Na terenie *County* znajdują się inne mniejsze podległe mu związki samorządowe.
- (2) *County Borough Councils* — jakby miasta wydzielone, wyłączone z pod zwierzchnictwa czy opieki *County Councils*. Uprawnienia te mają naogół miasta większe, zasadniczo liczące ponad 75.000 mieszkańców. Jest ich 83.
- (3) *Non-County Borough Councils*. Do grupy tej zaliczają się naogół miasta średniej wielkości (zasadniczo od 20 do 75.000 mieszkańców). Jest ich 309.
- (4) *Urban District Councils* — osiedla o charakterze zwarcie zabudowanym i gęściej zaludnionym — mniejsze miasta. Jest ich 572.
- (5) *Rural District Councils* — obszary luźno zabudowane i obszary wiejskie. Jest ich 475.

(6) *Parish Councils*; w niektórych parafiach rady nie są powoływane, a wszelkie sprawy parafii omawiane są na zebraniach ogólnych (*Parish meetings*). Rady parafialne istnieją w 7.000 parafii, zebrania parafialne w 4.100 parafiach. W miastach parafie nie mają charakteru jednostek administracji samorządowej. Związki samorządowe wyliczone pod 3—6 podlegają nadzorowi *County Councils*.

Zakres działalności poszczególnych związków samorządowych uzależniony jest głównie od charakteru potrzeb miejscowych i możliwości ich zaspokojenia. Niektóre z zadań doskonale mogą być zaspokojone w ramach stosunkowo małej jednostki administracyjnej, sposobami i w stopniu jaki dana jednostka uważa za wskazane, podczas gdy zaspokojenie innych potrzeb może być zorganizowane na terenie obejmującym większe obszary i dotyczyć stosunkowo większej ilości mieszkańców, przyczem sposób i stopień zaspokojenia danych potrzeb podlega generalnym zasadom i wymogom, niekiedy ściśle określonym.

Dane powyższe dotyczą tylko Anglii i Walii. Szkocja ma zupełnie odmienny ustrój samorządu terytorialnego. Istnieje tam 31 rad hrabstw (*County Councils*) i 4 rady miast wydzielonych (*Counties of Cities*), a ponadto rady miejskie w 23 dużych miastach (*Large Burghs*) i 172 małych miastach (*Small Burghs*) oraz 201 rad obszarów wiejskich (*District Councils*). Nadzór nad samorządem sprawuje sekretarjat stanu dla Szkocji.

GENEZA I CHARAKTER SAMORZĄDU LONDYŃSKIEGO.

Przytoczone powyżej ramy organizacyjne, a szczególnie zakres ich działalności, nie przedstawiają charakteru zupełnie jednolitego. Zachodzące odchylenia znajdują swe wytlumaczenie w historii rozwoju samorządu Wielkiej Brytanii. Ale całkiem odrębną organizacją i swoistym rozwojem instytucji samorządowych zaznacza się samorząd stolicy Wielkiej Brytanii — *Londonu*.

Pomijając momenty historyczne, na odrębność samorządu londyńskiego wpływa niewątpliwie i samo znaczenie *Londonu* jako stolicy, i rozmiary *Londonu*. Choć *London* nie jest typowym przykładem organizacji i zakresu gospodarki samorządowej w Wielkiej Brytanii, zaznajomienie się z jego gospodarką może dać należyte pojęcie o udziale samorządu w gospodarce publicznej. Gospodarka ta sama przez się już jest interesująca, jako forma rozwiązania problemu administracji jednego z największych skupisk świata. Dzisiejsza postać samorządu londyńskiego może być rozumiana na podstawie (1) historii *City of London*, (2) normalnego rozwoju instytucji samorządowych, oraz (3) krystalizowania się już w końcu wieku XIX i w wieku XX samorządu o charakterze wojewódzkim w postaci Rady Hrabstwa *Londonu* — *London County Council* (*L.C.C.*)

Pewne uprawnienia o charakterze samorządowym uzyskała najstarsza część *Londonu* jeszcze w latach 1000-ych. Były to mianowicie przywileje nadane przez *Wilhelma Zdobywcę* zamożnym i wpływowym warstwom ówczesnych mieszkańców *Londonu*. Następnie dzięki zwyczajom i nadaniom uzyskanym od parlamentu pierwotne prawa i przywileje rozwijały się nadal. Do tej pory *City of London* opiera swe niekiedy poważne uprawnienia na aktach, pochodzących z XIV wieku. Największe bodaj odrębności w obrębie Wielkiego *Londonu* zachowały się w samym systemie organizacji władz samorządowych. System ten, mogący w wiekach XVI czy nawet XVIII chlubić się postępowością i sprawnością organizacyjną, obecnie jest silnie krytykowany jako uciążliwy *anachronizm stanowiący zapórę w rozwoju Londonu*. *City of London* zachowała do dziś dnia poważny przywilej polityczny, a mianowicie prawo wyboru dwu posłów do parlamentu; przeciętna liczba wyborców na jeden mandat jest tu daleko niższa, niż przeciętna ilość wyborców w Anglii lub też w innych okręgach *Londonu*. *City of London*, będąc obecnie częścią samorządu Wielkiego *Londonu*, w niektórych dziedzinach administracji posiada uprawnienia analogiczne do *L.C.C.* Pochodzi to stąd, że pewne funkcje były sprawowane przez *City of London* zanim jeszcze została powołana do życia *L.C.C.*

Jak już zaznaczyliśmy, do początków XIX wieku skupiska londyńskie poza *City of London* podlegały analogicznemu rozwojowi, jak i cały kraj. Jednakże silny rozwój miasta prowadził do stworzenia szeregu urzędów i instytucji w zakresie wielorakich służb publicznych (utrzymania ulic, kanalizacji i t.p.) na dość ograniczonych terenach. W roku 1885 istniało około 300 różnych ciał i instytucji, działających na terenie *Londonu* określonego jako *Metropolis*. W roku tym na mocy specjalnej ustawy zostały te różne instytucje zniesione, a uprawnienia ich przekazane większym parafiom i urzędom dzielnicowym grupującym mniejsze parafie. Ponad tym został utworzony *Urząd Metropolitalny* (*Metropolitan Board of Works*). Do tego ciała byli wybierani przedstawiciele nie bezpośrednio przez ludność, lecz przez korporacje z *City*, przez dzielnicowe urzędy, przez specjalne zgromadzenia parafialne. W roku 1888, kiedy zostały utworzone specjalne administracje o charakterze wojewódzkim, powołano również administrację dla *Londonu*, obejmującą teren *Metropolis*. Do tej administracji włączono również i *City*. W roku 1899 obszary administracyjne parafialne i dzielnicowe były zastąpione przez 28 *Metropolitan Borough Councils*, z których jedno (*Westminster*) również nosi tytuł *City*. Nastąpił podział pracy pomiędzy *L.C.C.*, *City of London* i *Metropolitan Borough Councils*.

W okresie tym celem ułatwienia administracji różnych dziedzin gospodarki zostały stworzone specjalne władze. Istnieją one do tej pory i pełny obraz gospodarki samorządowej stanowią dopiero połączenie gospodarki tych instytucji z gospodarką związków samorządowych. To połączenie jest w pełni uzasadnione okolicznością, iż w różnych zarządach instytucji posiadających pewną autonomię zasiadają przedstawiciele związków samorządowych *Londonu*. Poszczególne dziedziny potrzeb są zaspokajane przez wiele instytucji, których zasięg działalności wybiega daleko poza sam *London*. Istnieją jak gdyby różne pojęcia *Londonu*. Dla przykładu przytoczymy kilka takich geograficznych obszarów *Londonu*: Ogólne Władze Administracyjne 117 mil kwadratowych, w tym obszar *L.C.C.* obejmuje 116, a *City* i obok istniejące dwa rejony *Temple* nieco ponad 1 milę kw. Wielki *London* obejmuje 693 mil kw. *Londony* Zarząd Wodociągowy obejmuje 576 mil kw., Administracja Ruchu *Londonu* — 1,820 mil kw., Okręg Policji Metropolitalnej — 692 mil kw., Okręg Policji *City of London* — 1 milę kw. (mila kwadratowa = 259 hektarów).

ORGANIZACJA ADMINISTRACJI.

Władze *L.C.C.* pochodzą z wyborów dokonanych w poszczególnych *boroughs*, podzielonych na okręgi wyborcze. Wyborcy wybierają *radnych* miej-

* Można te instytucje porównać niekiedy do związków celowych, czasem do przedsiębiorstw koncesjonowanych, wreszcie do spółek akcyjnych z udziałem samorządu.



Mapa powyższa przedstawia obszar podlegający London County Council, czyli Londyn samorządowy. Dzieli się on na City of London i 28 gmin miejskich.

skich, którzy mogą czy to ze swego grona czy z poza swego grona wybrać przewodniczącego (chairman) rady. Przewodniczący Rady jest z urzędu sędzią pokoju (Justice of Peace). W miastach wydzielonych przewodniczący nosi tytuł Lord Mayor, a w mniejszych miastach Mayor. Poza tym radni wybierają ławników (aldermen) w ilości stanowiącej 1/6 ogółu radnych; w wypadku, gdy wybór na ławnika padnie z pośród grona radnych, w okręgu tym są przeprowadzane dodatkowe wybory (w innych miastach jeden ławnik przypada na trzech radnych). Przewodniczący oraz wiceprzewodniczący wybierani są na rok. Ławnicy wybierani są na 6 lat, radni miejscy na 3 lata. Jednakże wybory ławników dokonywane są co 3 lata i dotyczą połowy ogólnej liczby ławników przewidzianych dla danego miasta. L.C.C. posiada 144 radnych i ławników. Liczba radnych w innych miastach jest naogół mniejsza, z wyjątkiem jednego Birmingham. Przewodniczący Rady czy też Mayorowie nie mają zbyt szerokich uprawnień w dziedzinie administracji. Poza sprawowaniem funkcji przewodniczącego, głównie przypada im rola reprezentacji samorządu. Niemniej jednak zakres wpływów i znaczenie dla administracji samorządowej dzięki specjalnemu szacunkowi, jakim cieszą się "pierwsi obywatele miasta," są dość duże. Ławnik naogół również nie posiada w hierarchii samorządowej większych uprawnień.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa władz City of London. Tutaj Lorda Mayora wybierają ławnicy, których liczba wynosi 26-ciu, przyczem mogą oni wybierać tylko z pośród dwóch kandydatów, którymi są dwaj szeryfowie (urząd sędziowski) wybrani w roku poprzednim. Ławnicy City of London wybierani są w specjalnych okręgach po jednym w okręgu, piastują oni swe funkcje dożywotnio lub do czasu rezygnacji. Lord Mayor i ławnicy wykonywują funkcje sądowe i administracyjne. Poza tym City wybiera 206 radnych miejskich, którzy tworzą inną reprezentację od reprezentacji złożonej z samych ławników. Znane są cieszące się wielką popularnością uroczystości przy obejmowaniu władzy przez nowego Lorda Mayora.

Ciężar pracy i odpowiedzialności w organizacji samorządu Wielkiej Brytanii spoczywa na komisjach. Przewodniczący — inaczej niż to jest na kontynencie lub w Stanach Zjednoczonych Ameryki — nie jest organem wykonawczym władz samorządowych. Rada Londynu (L.C.C.) posiada 17 komitetów stałych, niezależnie od możliwości powołania innych, które charakteru stałego nie posiadają. Wymienienie nazwy tych komitetów już mogłoby wskazać na zakres prac najważniejszych, które spełnia samorząd londyński. Oto niektóre spośród nich: Komitet Oświatowy, Finansowy, Straży Pożarnej, Drogowy, Kanalizacyjny, Szpitalnictwa i Służby Zdrowia, Budownictwa, Opieki, Planowania, Opieki nad Ociemniałymi, Zaopatrzenia i inne. Członkami komisji mogą zostać nie tylko ławnicy i radni miejscy ale i inne osoby, specjaliści oraz osoby o wielkim doświadczeniu na polu gospodarczym lub w pracy społecznej.

Z pracami komisji związana jest organizacja biur zarządu miejskiego, na której czele stoi Główny Urzędnik Miejski (Town Clerk). W dużym stopniu na niego spada obowiązek koordynacji pracy poszczególnych departamentów, które wspólnie pracują z komisjami. Urzędnicy miejscy są powoływani i zwalniani na podstawie decyzji poszczególnych Komisji. Jednakże jest przewidzianych kilka stanowisk, których obsadzenie może nastąpić tylko za zgodą władz państwowych. Bliski kontakt pomiędzy przedstawicielami społeczeństwa i pracownikami poszczególnych departamentów daje doskonałe rezultaty.

KLASA PRACUJĄCA PODEJMUJE WALKĘ.

Wyliczyliśmy poprzednio kilka stałych komisji, których nazwy wskazują już zakres działania; są one dalekie od wyczerpania zadań L.C.C.* Zakres tych zadań jest ogromny i obejmuje dziedziny, dotyczące życia człowieka od kolebki aż do grobu. O zakres działalności samorządu, jak i o sposób i stopień wykonania tych zadań, toczyła się przez długi czas walka na terenie samego Londynu.

Opór przeciwko wprowadzeniu reform, to nie zawsze przywiązanie do przysłowiowej "tradycji" lecz raczej walka klas posiadających o utrzymanie swych przywilejów i korzyści (choćby czasowych). Przeciwno śmielszym programom społeczno-gospodarczym sprzysięgły się różne siły reakcyjno-zachowawcze, reprezentowane czy to w parlamencie czy też w korporacjach City londyńskiej, czy wreszcie w bezpośrednio zainteresowanych spółkach, które eksploatowały mieszkańców Londynu, każąc sobie drogę płacić za wszelkie

urządzenia i świadczenia użyteczności publicznej, czy wreszcie wśród właścicieli domów i podatników.

Przez długi czas w L.C.C. rządziła większość konserwatywna. Dla zachowania pozorów, iż konserwatywnym ojcom miasta leży na sercu dobro mieszkańców stolicy, nazwali się "Reformatoremi Muncypalnymi". Chcieli oni w ten sposób skapitalizować popularność postępowej "Ligi Reform Muncypalnych". Jednakże w roku 1934 w L.C.C. doszła do władzy Labour Party. Wyniki kilkuletniej pracy labourzystów przed wojną, jak również i w czasie wojny wykazały kolosalne osiągnięcia samorządu londyńskiego; przyniosły one dodatnie wyniki dla całej społeczności londyńskiej. Odczywiście z gospodarki tej skorzystała przedewszystkiem klasa pracująca.

WAŻNIEJSZE DOKONANIA LABOUR PARTY.

Największe bodaj osiągnięcia zostały dokonane w dziedzinie budownictwa i poprawy warunków mieszkaniowych.* Już konserwatywni "reformatory" pod przymusem opinii publicznej musieli się zająć usuwaniem "slums'ów" t.j. nędznych budynków, zamieszkałych przez ubogą ludność. Konserwatyści w ciągu 15 lat uczynili w tej dziedzinie mniej więcej tyle, co labourzyści czynią przeciętnie w ciągu roku. Labourzyści zagadnienie przeniesienia z mieszkań nędznych do lepszych rozwiązywali przez budowę nowych domów. Labourzyści wypowiedzieli walkę "slums'om" i tylko wojna przeszkodziła pełnemu urzeczywistnieniu ich planów. Już po wojnie L.C.C. wybudowała dziesiątki tysięcy nowych domów; niekiedy są to tylko domy jakby tymczasowe ("prefab"), jednakże można być pewnym, że labourzyści w dalszym ciągu będą energicznie wprowadzać w życie program dostarczenia odpowiednich mieszkań dla ludności Londynu.

Drużga z kolei dziedzina, w której L.C.C. zaznaczyła swoją żywą działalność, to szkolnictwo. Liczne szkoły elementarne oraz średnie i techniczne miały przestarzałe budynki, wilgotne, nieoświetlone, niezdrowe i ciasne. Poprzedni konserwatywny zarząd Londynu nie bardzo troszczył się o poprawę stosunków. Dzieci ludzi zamożnych uczęszczały do t.zw. "Public Schools" (szkół prywatnych) i te oczywiście miały daleko lepsze warunki. Labourzystowski zarząd przystąpił do zmodernizowania, polepszenia warunków w szkołach, lecz niestety dzieło to przerwała wojna. Jednakże i w tym krótkim czasie osiągnięto już pewną poprawę. Plany zarządu labourzystowskiego przewidują wiele urządzeń i ułatwień, które do tej pory były niedostępne dla dzieci niezamożnej ludności Londynu. W okresie powojennym L.C.C. przystępuje do realizacji tego programu. W programie tych reform i modernizacji przewiduje się między innymi, że dzieci miasta tak wielkiego jak Londyn znajdą możliwość zetknięcia się z naturą i odetchnięcia świeżym powietrzem. Duży nacisk położyła labourzystowska L.C.C. na zbudowanie nowych szkół średnich (Secondary Schools) oraz rozszerzenie już istniejących. Więcej uwagi poświęca L.C.C. szkolnictwu technicznemu. Przed wojną około 300.000 uczniów korzystało ze szkół technicznych i instytutów wieczorowych. Chociaż już za czasów zarządu konserwatywnego Londyn posiadał wiele takich szkół, jednakże były one traktowane po macoszu, nie miały odpowiednich lokali oraz brak im było należytego wyposażenia technicznego. Labourzystowski zarząd przedsięwziął już budowę nowych gmachów i zajął się poprawą dawnych. Z wieczorowego dokształcania korzystają ludzie różnego wieku i różnych zawodów. Holdując zasadzie "w zdrowym ciele zdrowy duch" — labourzystowski zarząd Londynu zajął się zarówno dożywianiem dzieci w szkole, dostarczając wielu tysiącom dzieci niezamożnych darmo pożywienia, jak też rozwinął opiekę lekarską nad dziećmi. Specjalne szkoły zostały stworzone dla dzieci niedorozwiniętych psychicznie, a specjalne szkoły-szpitalne dla dzieci reumatycznych.

Wielkiego dzieła dokonał zarząd labourzystowski w dziedzinie szpitalnictwa. Szpitale miejskie do roku 1934 stały na bardzo niskim poziomie. Nie posiadały odpowiednich pomieszczeń i urządzeń. Brak im było nowoczesnych udoskonalonych środków dla operacji. Nie wszystkie szpitale zaopatrzone były w promienie X. Inne urządzenia szpitalne nawet takie jak kuchnie, pralnie itp. były przestarzałe. Poza tym niedostateczne i niewłaściwe było wyżywienie. Na niskim szczeblu i w niedostatecznej liczbie znajdował się personel sanitarny. Chory londyńczyk już tylko w ostateczności szedł do szpitala miejskiego. Dlatego też przywiązując wielką wagę do niesienia pomocy chorym, labourzystowski zarząd rozbudował i zmodernizował wiele szpitali londyńskich, podnosząc je do właściwego poziomu. Zmieniły obecnie wygląd sale szpitalne. Ponure ściany, ciężkie belki sufitów, wąskie okna przepuszczające mało światła, ustąpiły salom należycie wietrzonym, nasłonecznionym, pogodnym, ozdobionym kwiatami. To wzmacnia samopoczucie chorych i ułatwia im przyświe do zdrowia. Brakujące w wielu szpitalach urządzenia zostały uzupełnione, a niektóre szpitale wyposażone w pełni w nowe urządzenia. Znacznie poprawił się poziom fachowy lekarzy i służby sanitarnej oraz zwiększyła się liczba personelu szpitalnego. Zostały stworzone nowe kliniki dla paralityków, umysłowo chorych, neurasteników. Nie do poznania zostały zmienione szpitale dla położnych. Wystarczy powiedzieć, że w roku 1932 śmiertelność położnic wynosiła 7,2 na tysiąc, w roku 1937 już tylko 2,49 na tysiąc.

Całkowitemu przeobrażeniu uległa opieka społeczna. Opieka nad biednymi i opuszczonymi (destitute) miała charakter nie zawsze humanitarny. Niejednokrotnie uwłaczała godności ludzkiej i nosiła znamiona kary. Oczywiście nie w tym zakresie jak w wieku XVIII i na początku XIX, lecz w każdym bądź razie osoba, która podlegała tej opiece była jakby wyobcowana ze społeczeństwa. Od roku 1934 w Londynie nędza przestała być traktowana jako przestępstwo. Celem labourzystowskiego zarządu było, zająć się ludźmi, którzy się znaleźli w stanie wymagającym opieki w ten sposób, by postawić znów ich na nogi jako obywateli niezależnych i ufnych we własne siły.

Zakłady użyteczności publicznej, do których kierowano dotknięte losem osoby przymusowo, odrywając je niekiedy od rodzin, były postrachem dla ludzi; bardzo często osoba, która się tam dostała, już nie potrafiła zregenerować swych sił i powrócić do normalnego życia. Domy pracy przymusowej były udręką dla ich pensjonariuszy. Nie otrzymywali tam oni należytej opieki, należnych warunków zamieszkania i żywienia. Wszystko to uległo zmianie. Zarząd londyński zmienił nawet nazwę Public Assistance (Opieka Społeczna) na Social Welfare (Pomyślność Społeczna).

(Dokończenie u dołu strony 13)

* Wspomniemy tu o pewnej osobliwości a mianowicie o policji londyńskiej. Otóż w całej Wielkiej Brytanii policja jest utrzymywana przez samorząd a komendanci wyżsi policji są mianowani w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych (Home Office). Tylko w Londynie (Metropolitan Police) policja podlega bezpośrednio Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Mała wysępka na terenie Londynu, a mianowicie City, posiada własną policję bezpieczeństwa.

*W Londynie uważa się sytuację mieszkaniową za opłakaną gdyż półtora miliona mieszkańców zamieszkuje w lokalach, w których przypadają po trzy osoby na dwie izby.

NAD BRZEGAMI JORDANU

Obszerną rozprawę trzeba byłoby napisać, gdybyśmy chcieli przedstawić problem palestyński we wszystkich jego aspektach — uwzględniając geografę, historię, obecny stan ludnościowy, stosunki gospodarcze, bogactwa naturalne, rolnictwo i jego przyszłość itd. Ograniczymy się tutaj do przedstawienia tych jedynie problemów, które zainteresować mogą *polskiego czytelnika*; podejdziemy przy tym do zagadnienia ze stanowiska *polskiego uchodźcy*, odczuwającego głęboką wdzięczność za prawdziwą gościnność i zrozumienie naszej sytuacji, okazywane nam tak przez Arabów jak i (przedewszystkiem) przez Żydów, co jednak nie powinno przesłonić prawdy o Palestynie (a tę jedynie przedstawić tu pragniemy).

Nieco statystyki. Trzeba odrazu podkreślić, że nawet w tej dziedzinie natrafia się tu na trudności, gdzieindziej naogół niespotykane. Wbiło się wprawdzie w pamięć ostawione powiedzenie angielskiego męża stanu, który określił statystykę jako najwyższy rodzaj kłamstwa; pojmuje się jednak owo kłamstwo jako umiejętność ekwilibrysty, który potrafi z każdej kombinacji cyfr wysnuć takie wnioski, jakie mu są aktualnie potrzebne. W Palestynie nie chodzi o z ręczne operowanie *prawdziwymi* liczbami: poprostu statystyka nie operuje żadnymi pewnymi danymi. Nawet *obszar* — wydawało by się — nie powinien chyba budzić żadnych wątpliwości; a tymczasem i tu nie wiadomo, czego się trzymać. Mandat, udzielony Wielkiej Brytanii, obejmował obszar po obu brzegach Jordanu (Cisjordanii i Transjordanii) czyli Palestynę w znaczeniu historycznym. Ale w Transjordanii rządził emir Abdullah, którego przed dwoma laty proklamowano królem. (Czy nie jest żartem historii, że właśnie socjalista Bevin patronował ustanowieniu królestwa?) W ten sposób z historycznej Palestyny pozostała tylko 1/3 część, i ona to budzi obecnie zainteresowanie całego świata w związku z dążeniami osiedleńcymi Żydów europejskich. (Zresztą w państwie Abdullaha nie ma Żydów i nie ma tem samem "kwestii palestyńskiej.")

Trudniejsza jest sprawa *statystyki ludnościowej*; tu nawet urzędowe cyfry wprowadzają chaos, z którego trudno wybrać. Dane urzędowe podają ilość mieszkańców Palestyny z końcem roku 1946 na 1,912.000, z czego Żydów 600.000. Lord Samuel w niedawnej debacie w Izbie lordów podał te same mniej więcej cyfry, oceniając ilość Arabów na 1,200.000, czyli stosunek 1:2. Natomiast minister Bevin na kongresie *Labour Party* w Margate podał ilość Żydów palestyńskich na 700.000. W memoriale przedłożonym ostatnio komisji anglo-amerykańskiej podane zostały w dwóch różnych rozdziałach liczby ludności daleko od siebie odbiegające. Znaczący stosunków, nie zajmujący urzędowych stanowisk, ale mający wgląd w nieurzędowe źródła, twierdzą, że w Palestynie jest 700.000 Żydów i 900.000 Arabów, czyli stosunek 7:9. Te dane pochodzą ze źródeł żydowskich. Warto jeszcze przytoczyć, że wedle urzędowych danych w r. 1922 było w Palestynie 590.000 Mahometan (oraz 83.000 Żydów). Wśród Mahometan jest kilkadziesiąt tysięcy koczowników.

(Dokończenie ze strony 12)

Nie będziemy już wliczać dokonań i prac w innych dziedzinach gospodarki samorządowej, innych świadczeń i służb, których jest multum. Warto przypomnieć tylko o sprawności gospodarki *L.C.C.* w czasie wojny: budowa schronów, powołanie różnych służb do obrony przeciwlotniczej, zorganizowanie kuchni z gorącą strawą, usuwanie gruzów, znalezienie mieszkań dla zbombardowanych, ewakuacja dzieci z Londynu i t.p. Nie zapomnieliśmy też *labourystowską L.C.C.* o pewnych koniecznych inwestycjach, jak na przykład odbudowa wspaniałego mostu "Waterloo Bridge".

Niezależnie od osiągnięć dokonanych przez *L.C.C.*, równolegle w tym samym kierunku działały i *Metropolitan Borough Councils*, w których większość uzyskała *Labour Party*. Na terenie Londynu 23 *boroughs* posiadają większość *labourystowską*, lecz i te *boroughs*, które mają większość konserwatywną, dostosowując się do planów ogólnych i kierownictwa *L.C.C.*, szczególnie w tych dziedzinach, w których wypełniają zadania zlecone jej przez *L.C.C.*, starają się dotrzymać kroku sąsiadnim *labourystowskim boroughs*.

ŹRÓDŁA I ŚRODKI FINANSOWE.

Samorząd londyński posiada kilka źródeł z których czerpie środki na wypełnienie swoich zadań. Najważniejsze źródło, to *podatki bezpośrednie*. Podatki te są wymierzone przez specjalne komitety, przyczem na terenie Londynu podatki są wymierzone i ściągane przez *Metropolitan Borough Councils*, z których część przekazuje na rzecz *L.C.C.* a część zachowują dla siebie. Drugie źródło, to *dochody z majątku oraz opłaty od urzędzeń użyteczności publicznej*. Trzecie źródło stanowią *dotacje od państwa*. Dotacje te są przeznaczone na pokrycie części wydatków, które poniósł samorząd na zadania poruczone przez państwo. Poza tem samorząd może zaciągać pożyczki na cele inwestycyjne. Jeżeli chodzi o wydatki poniesione na zaspokojenie zadań różnych komitetów *L.C.C.*, w roku 1947-8 wyniosą one 42,555,060 funtów szt. Jest to suma dość duża, przenosząca wielokrotnie budżety małych państw. Niezależnie od tego poważne sumy na zaspokojenie potrzeb ludności Londynu wydają poszczególne *Metropolitan Borough Councils*. W roku 1935 wszystkie *boroughs* wydały około 16,000,000 funtów. Obecnie wydatki *boroughs* są znacznie wyższe, zważywszy, że wartość realna funta się obniżyła a zadania szczególnie po wojnie raczej się zwiększyły.

OSIĄGNIĘCIA GOSPODARKI SAMORZĄDOWEJ — ETAPEM W REALIZACJI SOCJALIZMU.

Labour Party idąc do walki o rozbudowę i reformy samorządu, nie stawiała zbyt wygórowanych i iluzorycznych planów, lecz zamierzenia swe utrzymywała w ramach *realnych możliwości*. To przemówiło do praktycznych i realistycznie myślących londyńczyków i oddało *labourystom* władzę w *L.C.C.* *Labour Party* realizując swe plany z widocznymi dla wszystkich wynikami. To zapewniało robotniczemu *zaufanie* mieszkańców stolicy i upoważnia zarząd *labourystowski* do tym *śmielszych, na daleką metę idących planów i programów*. *Labour Party*, poprzez takie realne osiągnięcia, skutecznie walczy o postęp, o poprawę warunków bytu i standardu życia ludności, posuwając realizację programu *socjalistycznego* na coraz wyższy poziom.

Henryk MOSZCZYŃSKI.



Dolina Jezreel. Wysilek chaluców (pionierów) zamienił opustoszałe siedlisko malarji, zwane przez Arabów "doliną śmierci", w kwitnącą i żyzną okolicę. Miejsce osuszonych bagien zajęły lany zbóż i zieleni gajów. Na zdjęciu lotniczym — żydowska wieś Nahalal.

Człowiek w Palestynie. Porzucmy statystykę, bo i tak nie będziemy z niej mieli wielkiego pożytku, natomiast zajmijmy się *człowiekiem w Palestynie*. Arabowie jeszcze przed niedawnym czasem tworzyli w zasadzie dwie odrębne kasty: zamkniętą kastę bogatych właścicieli ziemskich (*effendi*) i *fellachów*, będących dzierżawcami gruntów i płacących swym panom lichwiarskie czynsze dzierżawne. *Fellachowie* żyją w najniebezpieczniejszych warunkach, niemal bez żadnych potrzeb. W miastach są ponadto *bogaci kupcy* i powstaje klasa *przemysłowców*, a w następstwie tworzy się *proletariat przemysłowy*.

Żydzi pochodzą z rozmaitych krajów i środowisk. Ogromny jest procent zawodowej inteligencji najwyższej klasy. Tylko mała jej część może w Palestynie pracować umysłowo. Większość musiała zapomnieć o swym przygotowaniu uniwersyteckim i zabrać się do ciężkiej pracy fizycznej w trudnych warunkach klimatycznych i często bez przeszkolenia, szczególnie w wypadkach gdy emigrować trzeba było z przyczyn politycznych. Natomiast imigracja, kierowana przez odnośne instytucje żydowskie, poprzedzana była selekcją i przeszkoleniem. Wśród imigrantów było dużo idealistów. Większość tych bardzo wartościowych ludzi poszła do *kibuców*, to jest do osiedli rolniczych, zorganizowanych na zasadach społecznych. Członek *kibucu* pracuje wedle wskazań wybieranego co roku zarządu osiedla, świadcząc wedle swoich możliwości — w zasadzie w granicach określonego czasu pracy — i otrzymując wzamian wszystko, co mu jest do życia potrzebne: mieszkanie, żywność, odzież, wychowanie dzieci i ich wykształcenie, pełną opiekę na wypadek starości i niezdolności do pracy. Ziemia jest własnością Funduszu Narodowego, plody są własnością *kibucu*. Nikt nie otrzymuje za swoją pracę zapłaty w pieniądzu. Każdy członek *kibucu* może go opuścić, kiedy chce i przejść do innego życia. Jest to realizacja zasad socjalistycznych w codziennym życiu, jednak bez przymusu i nacisku. W przemyśle istnieje odpowiednik *kibuców* w przedsiębiorstwach, prowadzonych przez "Histadrut" (stowarzyszenie związków zawodowych).

Ludzie kibucu stanowią osobny typ człowieka w Palestynie. Ich idealizm podnosi na duchu i pozwala wierzyć, że socjalizm nie jest wyłącznie doktryną, przeznaczoną na dzień 1 maja i na okres wyborczy — i że można połączyć realizację socjalizmu z głębokim umiłowaniem wolności, ba, że to umiłowanie wolności jest podstawowym warunkiem socjalizmu. Kiedy wojska Rommła znajdowały się u bram Egiptu i bezpośrednio zagrażały Palestynie, bawiliśmy właśnie w jednym z *kibuców*, prowadzonych przez lewicę socjalistyczną, wyrosłą z ruchu *szomrowego* (żydowski skauting). W rozmowie z młodą matką, która właśnie bawiła się ze swoją pięcioletnią córeczką, padło zapytanie: "Co uczynicie, jeżeli Rommel przełamie front i zaleje Palestynę?" "Będziemy się bronili" — padła odpowiedź — "właśnie przed czterema dniami odbyła się konferencja *kibuców* i tak jednogłośnie postanowiliśmy; strzelać umiemy wszyscy." "Ależ tanki was zgniotą" — powiedzieliśmy z wahaniem. "My o tym wiemy, my wiemy, że zginie, ale przedtem zabijemy nasze dzieci, aby nie wpadły w ręce hitlerowców". Widziałem błysk jej oczu; wiedziałem, wiedziałem napewno, że ona słowa dotrzyma, że swego dziecka nie odda krwawym oprawcom. I pomyślałem sobie, że oto mam przed sobą prawdziwą Spartankę — prostą żydowską kobietę z Polski, bez patosu i bez teatralnego gestu. Ale w tej jej prostocie było tyle dramatycznej głębi, że wstrząśnięty pochyliłem głowę, by ucałować jej grube spracowane ręce.

Tacy są *ludzie kibucu*. Jakże oni nas, polskich uchodźców, gościnnie przyjmowali! Jakże się cieszyli, kiedy im deklamowano Wierzyńskiego, Tuwima, Słonimskiego! Jak wzamian za to deklamowano nam — Słowackiego! Podejmowano wszystkich uchodźców. Nie pytano, czy to urzędnik "sanacyjnego" rządu lub członek "Ozonu". Ani razu nikt nigdy nie wypomniał byłemu premierowi Składkowskiemu, że dał hasło do dyskryminowania Żydów swym słynnym powiedzeniem: "walka gospodarza — i owszem". Bo każdy uchodźca polski przynosił ze sobą wspomnienie polskich pól i lasów i wzbudzał na nowo nigdy nie wygasły sentyment do kraju ojców, sentyment istniejący u wszystkich polskich Żydów, mimo rozpoczęcia nowego życia w *Erec Israel*, kraju praocjów. Potem jednak, przyszły straszliwe wieści z Polski. . . . Ale to jest już "inna historia".

Przeciwieństwa. Poziom życia Żydów na roli, jak i pracujących w przemyśle, jest wysoki. Wszyscy odżywiają się dobrze, mieszkają w warunkach higienicznych, teatry są zawsze pełne. Abonamentowe koncerty filharmonii

palestyńskiej wysprzedane są na rok z góry. Odczyty, referaty, wycieczki, sport, uprawiane w szerokiej mierze, świadczą o rozległej skali potrzeb. Szkoły żydowskie są na wyjątkowo wysokim poziomie i stosują najnowsze metody wychowania i szkolenia. Pokazywano nam w pewnej szkole kibucowej wypracowania szkolne ośmiolletnich dzieci; byliśmy zaskoczeni ujęciem tematów i podejściem dziecka do zagadnień.

A tuż obok żyje arabski fellach w lepiance z błota lub w namiocie w warunkach tak pierwotnych, w jakich żyli jego praojcowie przed tysiącem lat. Jego potrzeby są minimalne, to też poziom zarobków jest bardzo niski. W początkach powstała dla żydowskich związków zawodowych niezwykle trudna kwestja, jak pogodzić hasło solidarności proletariatu z ogromną rozpiętością potrzeb między żydowskim i arabskim robotnikiem, a w związku z tem, z wysokością zarobków? Biorąc rzecz praktycznie: żydowski przedsiębiorca mógł zatrudnić znacznie tańszego robotnika arabskiego i uzyskać większe zyski. I oto wyłonił się konflikt między podejściem narodowym (zatrudnienie przybyłych Żydów) a stanowiskiem socjalisty, dla którego nie powinny istnieć różnice narodowe. Ten problem niesłychanie trudno rozwiązało niemal już w całości — życie. Arabowie organizują się coraz liczniej w związkach zawodowych, istnieją nawet wspólne związki arabsko-żydowskie, poziom zarobków i poziom życia arabskiego robotnika podniósł się znacznie i stopniowo robotnik arabski jako gorzej płatny przestaje już być konkurencją dla robotnika żydowskiego. A wreszcie — *Histadrut*, organizacja zawodowa, obejmująca 80.000 rodzin, jest dzisiaj potęgą, wyciskającą piętno na życiu społecznym, politycznym i gospodarczym Palestyny. Ta organizacja, używająca całego swego wpływu dla wyrównania różnic narodowych, podsycanych propagandą (która ma swoje określone cele) zapewne potrafi doprowadzić do wzorowego współżycia obu narodowości. Byliśmy niedawno świadkami takiego oto charakterystycznego zdarzenia: Banda opryszków niespodzianie napadła na kawiarnię, prowadzoną przez spółkę arabsko-żydowską na przedmieściu Tel-Awivu; wszczęła ona strzelaninę i położyła trupem pięciu ludzi. Poszukiwania policji nie dały przez dziesięć dni żadnego wyniku, poczem *Hagana* (na pół jawna żydowska organizacja samoobrony) przystąpiła do działania, wyłapała członków morderczej bandy i zlikwidowała ich, przeprowadziwszy "prywatną" rozprawę sądową (co oczywiście nie da się w żaden sposób pogodzić z pojęciem praworządności). Okazało się, że członkami bandy byli Egipcjanie, niedawno przybyli z Egiptu. Kto ich przysłał? Kto nimi kierował? Mówi przysłowie łacińskie: *His fecit, cui prodest* (ten uczynił komu to korzyść przynosi). Arabowie palestyńscy odzegnali się od przestępstw, uznali "sąd" *Hagany* za słuszny i sprawiedliwy, a w wielu miejscowościach Palestyny odbyły się "uczty pokoju", przy których obowiązkowo jest spożycie barana i wypicie czarnej kawy. Arabowie twierdzą, że już nigdy nie powtórzą się rozruchy z lat 1936-39 i że nie dadzą się uwieść ambitnym przywódcom, drogą zbrodni pragnącym dojść do władzy. Ci przywódcy, to członkowie kilku rodzin bogatych *effendieh*, mający dziś znikomy tylko wpływ na masy arabskie. Robotnik arabski już dawno uświadomił sobie, w czym interesie leży przepaść między nim a robotnikiem żydowskim i nie da się użyć jako narzędzie obcej mu polityki. Jeśli idzie o masy arabskie i o masy żydowskie — wiadomości o rzekomej nienawiści, istniejącej między nimi; są nieprawdziwe, ba! można śmiało twierdzić, że są świadomie skłamanne. Trzeba widzieć, jak fellachowie witają powstanie nowych osiedli żydowskich. Kiedy pewnej nocy zajeżdżały auta ciężarowe, wiozące ludzi i materiały dla budowy jedenastu osiedli rolniczych w Negebie (pustyni na południu Palestyny, uznanej przez rząd palestyński za nie nadającą się do kolonizacji) i kiedy w ciągu 24 godzin stanęły gotowe domy i zabudowania gospodarze, zeszli się arabscy sąsiedzi i patrząc z podziwem na dokonane dzieło życzyli osadnikom szczęścia i powodzenia w swem sąsiedztwie. Na takim tle, kwestja palestyńska nabiera innego koloru i w innym świetle się ją widzi, aniżeli by tego pragnęli pewne czynniki. Ale nie będziemy się tutaj zajmowali politycznym aspektem tego zagadnienia, a tylko dorzucimy słów kilka od strony

humanitaryzmu. 6.000.000 Żydów zginęło w czasie wojny w Europie. Nawet po zakończeniu działań wojennych ginęli Żydzi; strasne wrażenie wywołały wydarzenia kieleckie z dnia 4 lipca 1946. Kilkaset tysięcy Żydów przebywa po dzień dzisiejszy w Europie w obozach *DPs* za drutami. Czy można się dziwić, że są wśród nich tacy, którzy nie chcą powrócić do miejsc, skąd sami ledwo uszli z życiem i gdzie stracili swych najbliższych? Jakim prawem można wolnemu człowiekowi nakazać, gdzie ma przebywać i czym celom ma służyć? Ale to wszystko jest przecież tylko wynikiem zakłamania. Głosi się szumne frazesy o konieczności otwarcia bram dla wszystkich *DPs*, przebywających w obozach w Europie, ale dotychczas jakoś nikt tych bram jeszcze nie otworzył. W Palestynie wprowadzono jeszcze w roku 1939 ograniczenia imigracyjne, które chociaż uznane przez b. Ligę Narodów za sprzeczne z mandatem, przecież obowiązują do tej pory. Prezydent Truman żądał dopuszczenia do Palestyny 100.000 Żydów — zresztą bezskutecznie — ale Ameryka sama nie wpuściła ani jednego uchodźcy poza kwotę. Tragedja okrętu "Exodus 1947" jest tak wstrząsająca, że nie trzeba nawet rozpatrywać zapytania, czy ci nieszczęśliwi uchodźcy ulegli psychozie, czy propagandzie, czy też naprawdę pragnęli jedynie dojechać do Palestyny? Bo bez względu na to, co ich spowodowało do opuszczenia Europy, ich cierpienia i upokorzenie, polegające na przymusowym odstawieniu ich do Niemiec, jest strasznym policzkiem dla ludzkości. Honor socjalistów ocalił weteran socjalizmu Leon Blum, który z gorzką ironią powiedział o Żydach-tulaczach: "Popelnili oni dwa przestępstwa; po pierwsze, przeżyli prześladowania Hitlera, po drugie, chcieli dobić do kraju, który został im przyrzeczony układami międzynarodowymi. Ale ich cierpienia są tak wielkie, że powinno się im te dwa przestępstwa wybaczyć".

Lecz nie znaczy to, że wolno bezradnie patrzeć jak wśród Żydów szerzy się psychoza opuszczania Europy. Jeśli z jednej strony nie miał prawa brytyjski minister domagać się, by Żydzi pozostali w Europie i dopomogli do jej odbudowy, tak z drugiej strony byłoby zbrodnią nakłaniać ich, by sami spełnili testament Hitlera i dobrowolnie opuścili Europę. Żydom i nie-Żydom, wszystkim *DPs*, wszystkim wzytym ze swej ziemi, wszystkim którzy nie chcą albo nie mogą powrócić do ziemi swych ojców, wszystkim im trzeba otworzyć bramy wszystkich krajów. Trzeba zerwać z frazesem humanitaryzmu i przejść do czynów.

Piotr PORADA.

PRAWDA O GRECJI

W nowojorskim tygodniku "The Call", organie amerykańskiej Partii Socjalistycznej, pomieszczono zostało sprawozdanie o sytuacji w Grecji. Autorem jego jest profesor A. Svoulos, przewodniczący Greckiej Partii Socjalistycznej. Podajemy je tutaj za zgodą autora w przekładzie polskim.

Partia nasza, to Grecka Partia Socjalistyczna (*E.L.D.*) Powstała ona jako jednolita partia w kwietniu 1945 przez połączenie się *E.L.D.* (Związek Demokracji Ludowej), dawniej Greckiej Partii Socjalistycznej i innych małych grup socjalistycznych w jedną całość.

Partia oparta jest na zasadach szczerze socjalistycznych; zarówno jej metody polityczne, jak i jej organizacja wewnętrzna i taktyka są demokratyczne. Partia została uznana w skali międzynarodowej i bierze udział w Socjalistycznym Komitecie Informacji i Łączności w Londynie. Brała ona udział w konferencji w Zurychu i jest członkiem komitetu odbudowy Międzynarodówki Socjalistycznej.

Kierownictwo partii sprawuje przewodniczący (prof. A. Svoulos), sekretarz generalny (Elie Tsirimokos) oraz komitet centralny. Są oni wybierani przez doroczny kongres partyjny. Struktura partii jest demokratyczna. Organizacje partyjne istnieją we wszystkich prowincjach kraju, jednakże w obecnych warunkach tylko niektóre z nich mogą rozwijać działalność; w rzeczywistości ani jedna nasza organizacja nie może działać swobodnie.

W chwili obecnej kolportaż prasy partyjnej zabroniony jest w większości prowincyj. Należenie do partii, a nawet czytanie prasy partyjnej może narazić na prześladowania ze strony policji lub nieodpowiedzialnych terrorystów prawicowych. W tych okolicznościach partia ledwo może rozwijać swą działalność i propagować swój program.

Partia i grupy, które weszły w jej skład w chwili połączenia, brały udział w oporze narodowym przeciw Włochom, Niemcom i Bułgarom, gdy Grecja była okupowana. W tym okresie współpracowaliśmy z partią komunistyczną i innymi stronnictwami lewicy.

Jednakowoż od czasu utworzenia nowej zjednoczonej partii współpraca ta ustała. Partia socjalistyczna *E.L.D.* jest w swej działalności niezależna od wszystkich innych stronnictw. W niektórych zagadnieniach, takich jak walka o republikę, odbudowa związków zawodowych i pomoc dla bojowników oporu, działalność nasza jest z konieczności równoległa do działalności innych stronnictw lewicowych (z pośród których najważniejsza jest partia komunistyczna), a nawet uzgodniona z działalnością tych stronnictw. Partia socjalistyczna nie należy jednak do bloku *E.A.M.*, w którym uczestniczy partia komunistyczna.

Partia nasza ma członków i sympatyków wśród robotników, inteligencji itd. Jej program gospodarczy jest bardzo podobny do programu gospodarczego francuskiej partii socjalistycznej.

Wielu wybitnych przywódców greckiego ruchu zawodowego należy do naszej partii i bierze udział w jej kierownictwie.

Dążeniem naszej partii było zawsze i jest ustanowienie — demokratyczną metodą — pokojowych i normalnych stosunków w Grecji. Dla tej przyczyny zwalczyliśmy zawsze politykę nietolerancji, gwałtu i ucisku, uprawianą od r. 1945 przez rządy prawicowe, niestety — przy brytyjskim poparciu.

Widzimy — wydarzenia to udowodniły — że mieliśmy słusność, gdy ostrzegaliśmy, iż taka polityka doprowadzić musi do samoobrony a wreszcie do oporu zbrojnego ze strony prześladowanych. Liczą się oni w dziesiątki tysięcy (może nie mniej jak 100.000 w latach 1945-46). Stopniowo zorganizowali oni swój opór i weszliśmy w stan wojny domowej.

Wszystkimi środkami dążyliśmy do uniknięcia takiego rozwoju wydarzeń tem bardziej, że nietrudno było przewidzieć powikłania zewnętrzne, jakie wynikną z przeciągania się zamieszek wewnętrznych. Stwierdziliśmy, że komplikacje takie są niebezpieczne dla naszego kraju i mogą nawet doprowadzić do nowej wojny światowej.

Jest rzeczą pewną, że interwencja amerykańska w Grecji, wyrażona w orędziu prezydenta Trumana, uczyniła z naszego kraju teren ścierania się antagonizmów wielkich mocarstw; tem samem zwiększyła otaczające nas niebezpieczeństwa.

Musimy tu wyjaśnić, że nie jesteśmy ani pro-rosyjscy ani pro-komunistyczni. Nie jesteśmy przeciwni Stanom Zjednoczonym ani przeciwni Wielkiej Brytanii. Jesteśmy jedynie za niepodległą, wolną i demokratyczną Grecją. Rozumiemy, że nasze położenie geograficzne nakłada na nas obowiązek brania pod uwagę poglądów państw śródziemnomorskich a w Europie południowo-wschodniej — również poglądów ZSRR.

Zawsze przeciwstawialiśmy się jak najmocniej wszelkim terytorjalnym lub innym roszczeniom sąsiednich rządów wobec naszego kraju. Żądaniom takim przeciwstawiają się wszyscy Grecy bez wyjątku. Co więcej, seperatyzm nie da się pogodzić z faktami. Większość grecka w Macedonii i Tracji przewyższa mniejszość słowiańską w stosunku 18 : 1.

Nie braliśmy udziału w wyborach odbytych 31 marca 1936, ponieważ nawet rząd partii liberalnej p. Sofulisa, który rozpiął wybory pod naciskiem brytyjskim, oświadczył uroczyście, że terror uniemożliwił uczciwe wybory.

Dla tej samej przyczyny netylko stronnictwa lewicy, ale rozliczne stronnictwa centrowe również powstrzymały się od udziału w wyborach.

Wbrew oficjalnemu sprawozdaniu obserwatorów zagranicznych, abstynencja wyborcza była duża (ponad 40%) a warunki, w jakich wybory były przeprowadzone, nie były wolne od terroru i oszustw.

Wielu ludzi, którzy głosowali na stronnictwa prawicy — stronnictwa, które w tym kraju zawsze były bardzo reakcyjne i przeciwstawiały się wszelkim postępowym reformom — postąpiło tak, ponieważ demagogia stronnictw prawicy zapewniała ich, że osadzą one z powrotem na tronie króla — "ulubieńca Brytyjczyków i Amerykanów" — a tem samem zgoutują klęskę komunizmowi i przywrócą ład w kraju. Twierdziły one również, że osadzenie króla na tronie przywróci — za sprawą króla — dawny obszar grecki i że ich zwycięstwo doprowadzi do dobrobytu mas ludowych.

Rozczarowanie wyborców jest we wszystkich tych sprawach całkowite i tragiczne. Komunizm nie został pokonany, został natomiast poważnie wzmocniony. Obszar narodowy nie został odzyskany. Nawet Cypru nie oddała nam Anglia, chociaż żadne veto rosyjskie nie stało na przeszkodzie.

Sytuacja gospodarcza w kraju, naskutek anarchii finansowej i nieopodatkowania bogatych, jest katastrofalna. Co gorzej, Grecja nie osiągnęła spokoju i bezpieczeństwa.

Polityka gwałtownych prześladowań wszystkich żywiołów nie-monarchistycznych — nietylko komunistów, ale także socjalistów i republikanów — postawiła prześladowanych poza prawem. Prześladowania przeprowadzane były przez nieodpowiedzialne bandy zbrojne i organizacje rojalistyczne w Tessalii, Macedonii i na Peloponezie, oraz przez rząd. Rezultatem był, jak to przewidywaliśmy od dawna, wzrost napięcia wewnętrznego, trwającego od marca 1945 r., kiedy to rząd zaczął naruszać ugodę zawartą w Varkiza.*

Pomimo protestów naszej partii i innych stronnictw lewicy i centrum, przewlew krwi i zamęt doszły do zenitu. Słusznym i twórczym rozwiązaniem problemu byłaby nie "dynamiczna" polityka, uprawiana przez prawicowe rządy, lecz polityka pokojowych środków i demokratycznych metod, któraby pozwoliła na odbudowanie kraju przy pomocy aliantów.

Ocenialiśmy zawsze należycie aspekty zewnętrzne kwestii greckiej, jak również możliwość udzielania pomocy partyzantce zbrojnej przez obce kraje. Jednakże naszym zdaniem przyczyn rebelii szukać trzeba w niedemokratycznych warunkach politycznych kraju i w używaniu metod faszystowskich dla wytipienia nietylko komunistów, ale wogóle przeciwników rządu. Rząd określa wszystkich opozycjonistów mianem komunistów.

Stąd partia socjalistyczna E.L.D. oraz stronnictwa centrowe zawsze podkreślały konieczność usunięcia wewnętrznych przyczyn chaosu. Gdyby tak się stało, przywrócona zostałaby wolność i demokracja i nie byłoby podstawy do wykorzystywania naszej sytuacji wewnętrznej przez obce mocarstwa.

Obecnie na wyspach Egejskich przebywa ponad 18.000 deportowanych; wśród nich socjaliści i bezpartyjni.

Wygnańcy znajdują się w warunkach przerażających; trzymani są miesiącami bez sądu, nie wiedzą nawet o co są oskarżeni, bo też nie ma ich o oskarżać. Deportacje są same w sobie całkowicie bezprawne.

Przelano już wiele krwi i nadal krew się leje; trwa straszliwe niszczenie mienia i nie przystępuje się do odbudowy — a jednak rządowa polityka gwałtu nie doprowadziła do uspokojenia.

Wydaje się, że nie powiedzie się ona, nawet gdyby północne granice Grecji zostały zamknięte, zgodnie z planami amerykańskimi.

Przykro nam powiedzieć, że polityka Stanów Zjednoczonych w Grecji powtórzyła, a nawet przewyższyła wszystkie błędy Brytyjczyków. Przez wydanie 350 milionów dolarów na cele doktryny Trumana i przez obecność misji amerykańskiej w Grecji, Stany Zjednoczone w rzeczy samej zachęciły prawicowy rząd grecki do dalszego uprawiania złej polityki.

Zamiast przywrócenia demokracji i wolności — co jest jedynym sposobem zamknięcia partii komunistycznej w jej granicach psychologicznych, zamiast dopuszczenia do rozwoju socjalistycznych i innych postępowych żywiołów — polityka amerykańska podsyca dalsze trwanie wojny domowej.

Hamuje to nadzieje jakiegokolwiek politycznego umiarkowania i pokoju i ostatecznie może doprowadzić do podzielenia się opinii publicznej na dwa obozy — blok prawicy, z dnia na dzień coraz bardziej faszystowski, i antyfaszystowską lewicę, gdzie wpływ partii komunistycznej wzrasta z dnia na dzień.

Niedawno zwróciliśmy się do wszystkich stronnictw w Grecji, proponując zawarcie porozumienia pomiędzy stronnictwami na podstawie konstruktywnego programu, któryby dał możliwość wyjścia z obecnej ślepej uliczki i ułatwił porozumienie z naszymi wielkimi aliantami i z Narodami Zjednoczonymi.

Następujące podstawy, naszym zdaniem, mogłyby być przyjęte przez wszystkich: (a) Wszystkie stronnictwa winny ponownie proklamować całość i niepodległość naszego kraju: w ten sposób rzucone zostałyby podwaliny pod pojednanie.

Następnie zwrócilibyśmy się do wielkich mocarstw o zagwarantowania całości i niepodległości Grecji traktatem międzynarodowym. Oczywiście traktat ten zabrałoby obecność jakichkolwiek obcych wojsk w Grecji i pozwoliłoby nam na równą miarę przyjaźni z wszystkimi wielkimi mocarstwami.

(b) Wszystkie stronnictwa winny zgodzić się na współpracę w znalezieniu demokratycznego rozwiązania problemów Grecji po przywróceniu ładu, wolności i praworządności tak, abyśmy rychło mogli mieć powszechne wybory.

(c) Należy wydać powszechną amnestję dla wszystkich stronnictw, poczem rozbroić wszystkie stronnictwa.

(d) Obecny parlament winien być rozwiązany.

(e) Celem wykonania powyższego programu winien powstać rząd uzgodniony przez większość stronnictw lub przynajmniej mocą liczącą na zaufanie wszystkich stronnictw, zwłaszcza zaś stronnictw lewicy (n.p. koalicja żywiołów centrum i lewicy, albo koalicja na zasadach wysuniętych przez delegację brytyjskiej Izby gmin z Seymour Cox'em na czele).

(f) Narody Zjednoczone winny powołać specjalną komisję celem czuwania nad wykonaniem powyższego programu i celem nadzorowania wyborów.

Zdaniem naszym, Związek Sowiecki jako członek Narodów Zjednoczonych nie mógłby sprzeciwić się takiemu programowi rozwiązania problemu greckiego.

Fakt, że naród grecki przez większość stronnictw zabrałby się do rozwiązania swych własnych problemów, dojrzewających do przeobrażenia się w konflikt międzynarodowy, winienby natchnąć ufnością wszystkie mocarstwa.

Prawica grecka nie cieszy się tem zaufaniem, albowiem jej polityka antydemokratyczna poważnie zagraża całej sytuacji; prawica grecka nie wystąpi też z inicjatywą pokojowego rozstrzygnięcia.

Zamiast pracować nad dojściem do takiego to porozumienia, rząd ufny w poparcie amerykańskie woli uprawiać nadal i zaostrzać swą politykę gwałtu i terroru. W chwili obecnej stan rzeczy zmierza ku możliwie najgorszemu rozwiązaniu.

Zdaniem naszym, naród grecki nie powinien być stawiany przed dylematem: za lub przeciw partyzantom; w miejsce polityki dynamicznej powinno nadejść pokojowe rozwiązanie, drogą porozumienia i metodami demokratycznymi.

*Rozejm, zawarty pod brytyjską egidą, który miał zakończyć wojnę domową, szalejącą w maju 1944-45 r.

Taka była i jest konsekwentna linia Greckiej Partii Socjalistycznej.

Mogłoby się wydawać, że trzeba obecnie wybierać pomiędzy partyzantami, jako bądź-co-bądź antyfaszystowską siłą zbrojną, a nieprzejedannym rządem, używającym metod faszystowskich, rządem, który — gdyby nawet odniósł ostateczne zwycięstwo, to jeszcze nie prawdopodobnie byłoby, iż ustanowi reżym szczerze demokratyczny; tymczasem zaś naraża Grecję na wszelakie niebezpieczeństwa zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne. A jednak nawet obecnie zastawiać należy politykę pokojowego rozwiązania.

Jeśli chodzi o pomoc gospodarczą Stanów Zjednoczonych dla Grecji, to partia nasza nietylko nie zamierza jej odrzucać ale przyjmie ją z wdzięcznością.

Partia nasza sądzi, że Stany Zjednoczone — jak i wszyscy inni nasi alianty — zobowiązane są wspomóc narodowi greckiemu w odbudowie. Tym samym nie moglibyśmy odrzucić amerykańskiej pomocy finansowej i technicznej.

Natomiast przeciwstawiamy się czynieniu z naszego kraju ośrodka antagonizmu pomiędzy wielkimi mocarstwami, przyczem z kraju naszego zrobiono "punkt strategiczny". Wytwarza to wielką groźbę dla przyszłości Grecji.

Co więcej, grozi niebezpieczeństwo, iż pomoc, udzielana obecnie, zostanie strawiona w wojnie domowej i pozostanie bezowocna. Fakt ten powinien mieć znaczenie dla Stanów Zjednoczonych.

Nakoniec chcielibyśmy zauważyć, że czem by nie byli tak zwani komuniści, jedno jest pewne: walczymy przeciw skrajnie reakcyjnej oligarchii, której politykę dyktują interesy finansowe znikomej mniejszości wyzyskiwaczy.

Oligarchię tę popiera jedno po drugim obce mocarstwo. Od dwóch już lat polityka gospodarcza i finansowa prawicowych rządów jest polityką nędzy dla mas i czarnego rynku dla kapitalistów.

Misja amerykańska skrytykowała ostro tę politykę. Zuchwałstwo rządów prawicowych i oligarchii finansowej, której one służą, spowodowane jest brakiem rzeczywistej kontroli politycznej i zdławieniem wolności — zwłaszcza zaś wolności związków zawodowych — oraz ustanowieniem faszystowskiego, a co najmniej napół faszystowskiego ładu w kraju.

Oto dlaczego demokracja, a tem samem swobodne wybory, kontrola demokratyczna i instytucje wolnościowe są jedyną drogą do ocalenia Grecji.

A. J. SVOLOS.

EMANUEL MODIGLIANI

Dnia 7 października b.r. odprowadzono w Rzymie na wieczny spoczynek zwłoki profesora G. Emanuela Modiglianego. Modigliani stał u kolebki włoskiej partii socjalistycznej; wykuwający się ruch socjalistyczny przewyciężył musiał wpływu ruchu liberalno-mieszczanckiego i ruchu anarchistycznego; wielka wiedza Modiglianego pomogła skierować ruch wyzwolenczy proletariatu włoskiego na tory socjalizmu naukowego. Wraz z Turattim i Trevesem należał on do najwybitniejszych publicystów i popularyzatorów socjalizmu we Włoszech. Głosił socjalizm również z katedry uniwersyteckiej. Był członkiem parlamentu aż do czasu zamordowania Matteottiego; z ramienia odrodzonej partii socjalistycznej zasiadał w pierwszym parlamencie ery pofaszystowskiej.

Lata faszystowskie zaciążyły na zdrowiu Modiglianego, ale nie złamały go ani nie skrzywiły jego linii politycznej. Mimo podeszłego wieku, brał z emigracji udział w walce z faszyzmem, a z chwilą wyzwolenia Włoch wysunął się znowu na czoło ruchu socjalistycznego. Podjął wydawnictwo "Critica Sociale" w Mediolanie i z miejsca stał się czołowym rzecznikiem prawdziwego socjalizmu, nieskażonego trucizną doktryn totalistycznych. Modigliani był gorącym zwolennikiem jedności klasy robotniczej, ale wskazywał, że jedności nie można osiągnąć mechanicznie, że nie dochodzi się do niej przez zaprzepaszczenie własnych szczytnych ideałów i zastąpienie ich komunistycznymi komunałami. Modigliani podkreślał zawsze różnicę ideologiczną zachodzącą pomiędzy socjalizmem i komunizmem i głosił, że dopóki komuniści nie zrewidują swego światopoglądu totalitarnego, nie zaistnieje możliwość zjednoczenia ruchu robotniczego. Był to doskonały i dowcipny mówca, którego argumentacja porывała słuchaczy. Na kongresie partii socjalistycznej we Florencji w 1946 r. Modigliani był postacią centralną. On to sementował ideologicznie wszystkich przeciwników fuzji (połączenia się z komunistami) i dzięki niemu nie doszło wówczas do rozłamu, natomiast osiągnięto kompromis, którego niestety Nenni nie dotrzymał. W styczniu 1947 Modigliani uznał, że nie można dłużej pozostawać w jednym szeregu z prokomunistyczną ekipą Nenniego i wraz z Saragatem i innymi towarzyszami przystąpił do tworzenia nowego stronnictwa socjalistycznego — P.S.L.I.

Umarł ostatni z wielkich szermierzy socjalizmu włoskiego. Nad grobem jego przez chwilę umilkły różnice rozdzielające proletariata włoski: przedstawiciele wszystkich grup i stronnictw włoskich złożyli hołd pamięci wielkiego orędownika wolności, demokracji i socjalizmu.

B. H.

JERZY LEDEBOUR

Jerzy Ledebour, jeden z najstarszych przedstawicieli i przywódców Międzynarodówki Socjalistycznej, zmarł w Bernie szwajcarskim, licząc lat 97. Po zgonie Wilhelma Liebknechta, został na jego miejsce wybrany w r. 1900 posłem do Reichstagu z Berlina; mandat ten piastował z wyboru przez niemal ćwierć wieku. Ledebour był zdecydowanym przeciwnikiem polityki wojennej, uprawianej przez większość niemieckiej partii socjalno-demokratycznej podczas I-ej wojny światowej; brał udział w konferencji w Zimmerwaldzie w 1915 r., gdzie nawiązał i osiągnął porozumienie z lewym skrzydłem socjalistów francuskich. W Reichstagu występował odważnie i zdecydowanie przeciw polityce zaborczej oraz niemieckim metodom okupacyjnym. Po rozłamie w partii socjalno-demokratycznej (1917), Ledebour był jednym z przywódców niezależnej partii socjalistycznej. Po dojściu Hitlera do władzy, wyemigrował do Szwajcarii.

Ledebour zasłużył sobie na wdzięczność socjalistów polskich, których samodzielności bronił na zjazdach niemieckiej partii socjalno-demokratycznej i w prasie partyjnej. Przeciwstawiał się wytrwale Róży Luxemburg, która chciała polski ruch socjalistyczny w Poznańskim, na Pomorzu i na Górnym Śląsku wcielić do niemieckiej partii socjalno-demokratycznej. Jego sympatie dla Polaków zyskały mu wśród przeciwników złośliwe nazwanie; nazywali go: *Ledebourski*. Lecz Ledebour był dumny z tego przydomka.

“ŚLADAMI TWOIMI IDZIE ZBRODNIARZ”...

List w sprawie N.S.Z.

DROGI Leonardzie! Wzmianka o “Narodowych Siłach Zbrojnych” (N.S.Z.) w moim opowiadaniu p.t. “Na skrzyżowaniach podziemnych ścieżek” (“Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii”, lipiec 1947 r.) boleśnie Cię uraziła. Twierdzisz, że obniża ona wartość opowiadania, z którego ogólną tendencją zgadzasz się. W Twoim przekonaniu nie wolno polskich N.S.Z. stawiać w jednym szeregu z niemieckimi S.S., a stawiania ich na równi dopatrzyłeś się w zdaniu:

“... wyszli z podziemia w głąb dżungli, gdzie już niepodzielnie panuje prawo silniejszego i gdzie spotykają się kijowski czekista i hitlerowski esman, Zaręba i Ettinger, warszawski minister bezpieczeństwa i zwalczany przez niego N.S.Z.-owiec”.

Czy naprawdę nie wolno, Leonardzie? Postaram się na to pytanie dać odpowiedź, pomimo, że wywoła to gwałtowne protesty ze strony polskich ugrupowań czarnoseciny, oraz — co dla mnie ma znacznie większą wagę — sprawi przykrość wielu ludziom dobrej woli, których na różnych zakrętach złęgo losu nieświadomość lub konieczność (bo i tak bywało) postawiła w szeregach organizacyjnych N.S.Z.

W Powstaniu Warszawskim miałem pod swoim dowództwem niejednego b. członka N.S.Z., wśród których byli dzielni żołnierze i kryształowi ludzie, a skolei po Powstaniu i po ucieczce z niemieckich obozów niejedną z moich podkomendnych towarzyszy nie miał innego wyjścia, jak tylko zaciągnąć się w Sudetach do t.zw. “Brygady Świętokrzyskiej”. Wiem od nich, że istotny charakter formacji był przed nimi

(Dokończenie ze str. 16)

Nikitin włożył czapkę, zostawił Miszę w dyżurce, przeszedł hall, bramę, ciemne korytarze, skręcił ku szklanej centrali, potem ku wyjściu, spojrzął na straszliwe ciemności zatrzaśnięte lejącym deszczem, podniósł kołnierz kurtki i wpadł w noc, znikając w niej natychmiast.

Misza już był gotów do pracy. Podniósł słuchawkę i szepnęła cicho:

— Proszę Nataszę.

— Natasza! Natasza! — *Dawaj skorej!* — wołała w centrali Sasza, siedząc na wysokim stołku jak na rożnie. — Doktor Fomin prosi do dyżurki.

— Misza? — zaśmiała się w słuchawce Natasza.

— Ty się nie śmiejesz, Natasza, lecz idź natychmiast.

Natasza powiesiła wolno słuchawkę, poprawiła kasztanowate, bujne włosy, ściśliła teraz nasunęła na nie biały czepek, zarzuciła pled na ramiona, zarumieniła się mocno, i stąpając cichutko w filcowych, szpitalnych, wysokich pantoflach, zajrzała przez szklany otwór w drzwiach do trzynastki i spiesznymi kroczkami przeszła potem przez korytarz do jaskrawo oświetlonego hall'u.

Zapukała lekko do dyżurki.

— Proszę!

Weszła, jak była jeszcze zarumieniona, miękka jakaś i bujna, jak zawsze.

— O, Natasza! — powiedział lekarz. — Dobrze, że tu jesteście. Co tam u was na oddziale?

Nie odpowiedziała od razu. Popatrzyła na Miszę swymi błękitnymi oczami, rzęsy jej czarne i długie, słodko zatrzepotały, zakłapała jeszcze raz swymi jedwabnymi rzęsami i powiedziała po tym cicho:

— To jest wielkie nieszczęście z tą nową partią.

Misza się zasępił.

— Dlaczego, mówicie, nieszczęście? Nieszczęście jest ze wszystkimi ciężko chorymi.

Natasza przysunęła się bliżej. Lampa płonąca w dyżurce oświetlała ją teraz ze wszystkich stron. Włosy jej zaświecały się mokrymi, gorącymi blaskami na skroniach i na mocnym, białym karku. Czepek jej był jeszcze bardziej śnieżny w porównaniu z tą złocistą, świecąca miedzią. Oczy o głębokim, nieskazitelnym błękitnie, paliły się, jak dwa płomienie pokusy. Cała jej postać tryskała zdrowiem i siłą. To też tym mocniej brzmiały w jej ciemno-wisniowych, może nieco za pulchnych, wilgotnych ustach, słowa powiedziane dopiero co do młodego lekarza.

Doktor spojrzął na nią i aż się wzdygnął.

Marian CZUCHNOWSKI.

starannie ukrywany, a w wielu wypadkach młodzi chłopcy i dziewczęta dopiero po kilku miesiącach pracy konspiracyjnej lub służby partyzanckiej dowiadawali się, że nie należą do Armii Krajowej lecz... wręcz przeciwnie.

Z myślą o nich piszę ten list do Ciebie. Niech spojrzą prawdzie w oczy i niech się rozstąpią. Niech nie osłaniają swoją dobrą wolą złą woli przywódców N.S.Z. Niechaj zrozumieją, że sprawa N.S.Z. nie jest ich sprawą i że za ich nieświadomością kryła się zawsze i do dziś dnia czai się zbrodnia. . . .

SIEGNIJMY pamięcią wstecz. W niedawno wydany przez Spółdzielnię Wydawniczą “Książka” dzienniku Zofii Niemojowskiej z lat 1917-1923, pod datą 10 grudnia 1922 roku znalazłem taki zapis:

“Smutna wiadomość: prezydentem Rzeczypospolitej został obrany Narutowicz, socjał, mason i przyjaciel Żydów (zwłaszcza Askenazego), drugi Piłsudski. Młodzież akademicka demonstruje przeciwko takiemu wybrykowi. . . . Osiągnął większość dzięki Żydom, Niemcom i Ukraińcom. Katastrofa!”

Pamiętam dobrze ten dzień. Uczęszczałem wówczas do czwartej klasy gimnazjum Maurycyego hr. Zamoyskiego, kandydata na stanowisko Prezydenta R.P. ze strony ugrupowań prawicowych. Gimnazjum mieściło się w Warszawie przy ul. Smolnej 30. Dyrektorem był Henryk hr. Lipski, poseł na Sejm z okręgu Pabianice z listy t.zw. “Chjeny” (Chrześcijańska Jedność Narodowa). Po drugiej lekcji wychowawcy sprowadzili wszystkich uczniów do wielkiej sali gimnastycznej na parterze, gdzie wysłuchaliśmy płomiennej mowy pana posła. Błady, mocno wsparty na pulpicie, pochylony ku nam z wyżyn podestu, mówił dokładnie to samo, co zapisała w swoim palacu pani na Marchwacu: “Katastrofa!” Po przemówieniu rozprostował się i tonem trwającego na posterunku wodza dysponował:

— W tych tragicznych dla Polski chwilach dalsze lekcje dzisiaj nie odbędą się. Młodzi uczniowie szybko udadzą się do domów, starsi zaś pójdą tam, gdzie ich wzywa poczucie obowiązku wobec Boga i Ojczyzny.

Dalszy przebieg wypadków jest powszechnie znany. Na placu Trzech Krzyży korporanci i uczniowie w niebieskich czapkach obrzucili błotem przejeżdżającego z ulicy Wiejskiej prezydenta Gabriela Narutowicza, a bojówki “Rozwoju” (zwanego przez warszawskich robotników “Rozbojem”) z ulicy Żórawiej 2 ostrzelały w Alejach Jerozolimskich pochód PPS. Od tych kul poległ warszawski robotnik — metalowiec, Aleksander Kałużyński.

WKILKA dni po tym, we wtorek, 19 grudnia 1922 roku, w ostatnim dniu nauki przed feriami Bożego Narodzenia, Zygmunt hr. Broel-Plater, udekorowany faszystowskim znacznikiem, przywiezionym przez prefekta ks. Detkensa z pielgrzymki do Rzymu, wręczył — z inicjatywy drugiego prefekta, ks. Śmigielskiego — “w imieniu wszystkich uczniów naszej klasy” przepyszny bukiet białych i czerwonych róż nauczycielce francuskiego, madame Valerie de Tilly, jako kuzynce “wielkiego idealisty i patrioty, bohaterskiego Eligiusza Niewiadomskiego” — mordercy prezydenta Narutowicza.

Tego samego dnia bohaterem klasy stał się Marianek Reutt, który spóźnił się do szkoły, przynosząc na swe usprawiedliwienie dwie żydowskie jarmułki, własnoręcznie “zdobyte” na ulicy Świętokrzyskiej, czym wzbudził — wśród aprobujących uśmiechów “ciała pedagogicznego” — zazdrosny podziw większości kolegów.

Daty zbiegają się. 19 grudnia 1922 roku spokrewniona z księżętami Lubomirskimi Zofia Niemojowska, pupilka ks. arcybiskupa Kakowskiego i rektora Jezuitów Ojca Urszulewicz, protektorka szkoły katechetek S.S. Sierzulanek w Sieradzu, zapisała w dzienniku:

“W całym kraju oburzenie na Żydów i akcja antysemicka. . . . Naród ocenił się i może stronnictwa narodowe skonsolidują się. Sursum corda!”

A dalej, 7 stycznia 1923 r.:

“Kazałam odczytać chłopcom w szkole przemówienie Niewiadomskiego”.

. . . i 14 stycznia 1923 r.:

“Czytelnia ludowa. Odczytałam tam jeden odczyt o bolszewizmie, drugi o Mussolinim”.

CZAS PŁYNIE i ludzie zmieniają się. Ale nie wszyscy i nie bardzo. Dyrektor Lipski wkrótce po przewrocie majowym zapisał się do B.B.W.R., a następnie do O.Z.N. i regularnie co rok w dniu 19 marca, w sali gimnastycznej na parterze, wygłaszał do uczniów płomienne przemówienia o Józefie Piłsudskim i oddawał hołd pamięci Gabriela Narutowicza, na którego przedtym szczuł swoich wychowanków. Wielu swoich kolegów szkolnych po egzaminach maturalnych widywałem na wieczach akademickich z grubymi bambusowymi łaskami, w korporanckich deklach i z “mieczykami Chrobrego” w klapach marynarek. Marianek Reutt odnosił sukcesy na ringu bokserkim i podpisywał ultra-hitlerowskie programowe artykuły w “Falandze”.

Czyż potrzebuję przypominać Ci, Leonardzie, pierwsze polskie kolumny międzynarodowego faszyzmu: S.S.S. (Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej) — zbrojne oddziały łamistrąków i P.P.P. (Pogotowie Patriotów Polskich) — zbrojne spryski antyrobotnicze z podziemi kościoła Św. Krzyża? Krwawe ekscesy antysemickie w całej Polsce, walki o “numerus clausus” i o “ghetta lawkowe” na wyższych uczelniach? Przytycki pogrom? Łomy żelazne, żyletki wprawione w końce pałek, strzały rewolwerowe w “Colosseum”, hajdamackie noże przed Filharmonią warszawską?

Może nie znałeś zakulisowych tajemnic reżyserii tego ponurego widowiska. Może nie wierzyłeś opowiadaniom o pieniędzach Franaszka i innych fabrykantów, finansujących kosztowne bojówki, pikiety, “piaskowe koszuły” i propagandę pod dowcipnie zestawionymi hasłami: “Bóg, Honor, Ojczyzna” — “Swoj do swego i fpo swoje” — “Bij Żyda!” — Mogłeś nie wiedzieć nic o cichych subwencjach, wypłacanych Obozowi Narodowo-Radykalnemu m. in. na ręce Jana Mosdorfa z dyspozycyjnej kasy ministra spraw wewnętrznych już od 1934 roku, t.j. od czasu załamania się sanacyjnej “polityki młodzieżowej” Janusza Jędrzejewicza — twórcy “Zrebu” i “Straży Przedniej”, pułkownika Juliusza Ułycha — szefa pułkownikowskiej tajnej “Gwardii” i Aleksandra Kawalkowskiego — wiernego “sanatora”, lansującego się na stanowisko komendanta głównego Legionu Młodych w celu spacyfikowania niezależnych i lewicowych prądów ideowych w tej zbuntowanej wtedy organizacji.

OCZYWIŚCIE nie wiedziałeś także o pomocy finansowej, przyjmowanej jednocześnie przez wielu działaczy tajnych ośrodków dyspozycyjnych “Falangi” od ambasadora von Moltke’go; zostało to ujawnione dopiero we wrześniu 1939 roku, gdy jeden z pośredników tych wypłat, stały przed wojną współpracownik “Polski Zbrojnej”, Stanisław Brochwicz-Kozłowski, stanął przed sądem wojennym w twierdzy brzeskiej. Skazany na śmierć, lecz uwolniony przez wojska niemieckie przed wykonaniem wyroku, wydał w 1940 roku broszurę p.t. “Bohaterowie czy zdrajcy”; pisał w niej z oburzeniem o wyjątkowym przywódcy młodzieży narodoworadykalnej, Bolesławie Piaseckim, który nie przyjął pieniędzy, a o otrzymanej propozycji złożył meldunek polskiej “dwójce”.

Z tych to właśnie niemieckich jurgielników powstała jedyna pod okupacją niemiecką jawna “polska” organizacja polityczna, N.O.R. (Narodowa Organizacja Radykalna), która otrzymała luksusowy lokal przy Alejach Ujazdowskich 20 i — odświeżwszy kontakt utrzymywany przed wojną przez łódzkiego agenta Weinberga z nieostrożnym i niepoprawnym maniakiem czystych rąk, profesorem Władysławem Studnickim, oraz pozyskawszy patronat drugiego “człowieka z nazwiskiem”, prof. Cybichowskiego — z dużym tupetem rozwijała działalność w początkach 1940 roku, wkrótce jednak zwiędła, pozostawiając po sobie jedynie zielone wywieszki “GOJ” (Gospodarczą Organizujemy Jedność) w witrynach sklepowych.

Mogłeś o tym wszystkim nie wiedzieć, ale pomimo swoich sympatii prawicowych, jako przesiąknięty chrześcijańską filozofią Cieszkowskiego i Hoene-Wrońskiego, dzisiejszy wyznawca poglądów Maritain’a, tak samo jak ja musiałbyś buntować się przeciwko barbarzyństwu na widok masakrowanego w auli uniwersyteckiej swego przeciwnika politycznego, komunisty Wędrychowskiego, lub leżącego w kałuży krwi przechodnia o semickim wyglądzie, którego w Alejach Ujazdowskich dopadła oenerowska bojówka.

POWIESZ mi, że to są sytuacje już dzisiaj nieaktualne, że ks. Detkens okupił swoją propagandę faszystowską jako proboszcz kościoła akademickiego św. Anny pełną godności śmiercią pod okupacją niemiecką, Jan Mosdorf wykazał niezwykłą moc ducha i wyjątkowe zalety charakteru w Oświęcimiu,* Bolesław Piasecki pełnił nienaganną służbę w Armii Krajowej w grupie gen. Wilka na ziemiach północno-wschodnich, a pierwszy (przed majorem Edmundem Galinatem) komendant sanacyjno-oenerowskiego Związku Młodej Polski, falangista Jerzy Rutkowski dzielnie sobie poczynał w tajnym drukarstwie wojskowego B.I.P.-u, o czym zresztą wiesz ode mnie. Użyj też argumentu, że Narodowych Sił Zbrojnych, formacji stworzonej dopiero pod okupacją niemiecką do walki o wyzwolenie Polski, nie można obciążać odpowiedzialnością za przedwojenną działalność takich czy innych grup pro-faszystowskich i pro-hitlerowskich, i że wobec tego niepotrzebnie jątżę zabliźnione rany odgrzebywaniem przeszłości, jakże bladej wobec ludobójstw dokonanych w ostatnim ośmioleciu.

Mylisz się, Leonardzie! Przytoczone wyjątki niestety nie stworzyły żadnej nowej reguły. W historii polskiego nacjonal-faszystu istnieje niewzruszona ciągłość od czasu, gdy w „*Myślach nowoczesnego Polaka*” Roman Dmowski w r. 1903 sformułował zasady kultu siły w życiu narodu, wynarodowienia w stosunku do innych, słabszych narodowości i przemocy w stosunku do przeciwników politycznych. Tej ciągłości nie zdołały przerwać wielkie dziejowe wstrząsy, które miały ludzkością, a cóż dopiero zmiany nazw i form organizacyjnych działania.

Nie dziś się więc, że w kilku zdaniach opisałem środowisko, z którego wyszli przywódcy ruchu „wszchepolskiego” i że uważałem za istotne przypomnienie atmosfery, w której rodził się i rozwijał późniejszy zbrodniarz N.S.Z.-owy. Bez tego trudne byłoby zrozumienie stanowiska i roli polskiego obozu nacjonalistycznego po wrześniu 1939 roku, kiedy to w społeczeństwie polskim w sposób żywiołowy doszły do głosu najlepsze i najgorsze instynkty ludzkie, i kiedy w podziemiu każdy postępował przede wszystkim według własnego sumienia i na własną miarę.

Wtedy to powstały Narodowe Siły Zbrojne, będące bezsprzecznie, zarówno pod względem oblicza politycznego jak i pod względem składu personalnego komórek kierowniczych, przedłużeniem przedwojennego „ruchu narodowo-radykalnego” w Polsce. Stanowiąc w zasadzie tajną organizację militarną, powołaną do walki przeciwko okupantom, nie zawsze i nie wszędzie postępowały zgodnie z tą zasadą, natomiast zawsze i wszędzie w ciągu blisko 5 lat sabotowały wysiłki, zmierzające do scalenia pod jednym dowództwem wszystkich tajnych polskich formacji zbrojnych, rozbiły jednolity front oporu przez nie stosowanie się do powszechnie przyjętych zbiorowych decyzji, dotyczących metod walki i postawy społeczeństwa polskiego, przygotowując się do wprowadzenia w Polsce systemu monopartyjnego.

Od drugiej połowy 1942 roku sekundował im O.P.W. (Obóz Polski Walczącej), organizacja importowana do kraju przez grupę reemigrantów z Bukaresztu i Budapesztu — dawnych działaczy politycznych O.Z.N. z marszałkiem Śmigłym-Rydzem i b. wiceministrem Julianem Piaseckim na czele.

JESIENIĄ 1942 roku byłem kierownikiem tajnej drukarni w podziemnym oficynie domu przy ul. Targowej 47 na Pradze. Obok szeregu innych wydawnictw o szerokim wachlarzu ideowym, mieliśmy przydzielony do wykonywania obszerny miesięcznik p.t. „*Przegląd Polityczny*”, naczelny organ O.P.W. Był on pismem wybitnie antydemokratycznym, poświęconym głównie próbom politycznego rehabilitowania najbardziej reakcyjnych elementów reżymu przedwrześniowego, korzystał jednak z nieograniczonej wolności słowa, tak samo, jak cała prasa podziemna.

* W relacji z obozu oświęcimskiego za III kwartał 1943 r., otrzymanej w Londynie przez Komitet Zagraniczny PPS, czytamy o osadzeniu w bunkrach wszystkich podejrzanych o jakakolwiek robotę organizacyjną. „Ofiarą wtedy padła duża grupa wojskowych na czele z pułk. Gilewiczem-Lisowskim-Stamirowskim, a poza tym wiele innych osób cywilnych. Wszystkich rozstrzelano... Razem z wojskowymi został rozstrzelany przywódca ONR Mosdorf. Był to jeden z nielicznych nacjonalistów, który w obozie zachował się, jeśli chodzi o stosunek do współwięźniów innych narodowości, jak prawdziwy Polak. Był on *Pflegerem* na *Krankenbau*. Doniósł go do kierownika politycznego inny nacjonalista Białorusin obecnie *Volksdeutsch*, ochotnik do wojska niemieckiego Zenon Łowski, który wyraził się dosłownie: my tego Mosdorfowi nie zapomnimy, że wtedy, gdy my prowadziliśmy tak owocną walkę z Żydami, to pan Mosdorf chodził pod rękę z Żydami i komunistami”.

Na oczach stolicy rozgrywała się właśnie najpotworniejsza masakra: *likwidacja półmilionowego ghetta*. Groza męczeńskiej śmierci setek tysięcy mężczyzn, starców, kobiet i dzieci zawisła nad miastem ciężką ołowianą chmurą, spędzała sen z powiek, gnała ulicami ludność Warszawy, mobilizując wszystkie środki i zasoby dla ratowania skazanych na zagładę. Prasa podziemna dawała wyraz myślom i uczuciom społeczeństwa polskiego, słowami pisanymi krwią protestowała przeciwko dokonywanej zbrodni, wołała o pomoc dla ginących i o karę dla zbrodniarzy.

„*Przegląd Polityczny*” nadesłał wtedy do drukarni artykuł na temat likwidacji ghetta. Zdawkowo zstrzegając się przeciwko zastosowanym przez Niemców metodom, wyliczył oklepaną w przedwojennych antysemitkich szmatkach listę win Żydów w stosunku do Polski, wskazał na korzyści, wynikające dla narodu polskiego z likwidacji „kwestii żydowskiej” i dał wyraz przekonaniu, że Opatrzność, która na naszych oczach karze jednych wrogów Polski — Żydów, nie zapomni w dalszej kolejności i o innych wrogach.

Artykuł ten stał się bezpośrednią przyczyną jedynego w swoim rodzaju strajku pracowników tajnej drukarni, którzy — poparci przez cały zespół nazimny zakładu — odmówili wykonywania jakichkolwiek wydawnictw O.P.W. Przełożeni strajkujących uznali słuszność ich stanowiska i O.P.W. musiał uruchomić własną drukarnię, mszcząc się za to wydaniem na mnie groteskowego „wyroku”, chociaż oczywiście jako żołnierz Armii Krajowej nie podlegałem w żadnym wypadku niczyjej prywatnej „jurysdykcji”.

PODOBNY motyw pojawił się później w chorej wyobraźni byłej więźniarki obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, która opisując wrzucanie na ciężarówkę Żydów z bloku śmierci przez członków „*Leichenkomando*” (trupiej kolumny), insynuując współwięźniarkom takie refleksje („*Z oichlami*”):

„Czuły, że one, nie nie znaczące pyłki ludzkie, są świadkami sądu dziejowego, że w tej dobie właśnie wypełniają się wyroki za czyny dokonane przed dwoma tysiącami lat...”

Różnica polega tylko na tym, że do pasowania hitlerowskich oprawców na wykonawców woli bożej — autora artykułu w „*Przeglądzie Politycznym*” prowadził nieokielzany nacjonalizm, autorkę wspomnianych oświęcimskich — grząskie religianctwo.

W tym zaleśnięciu była metoda. O uszy każdego z nas obijały się lansowane równolegle przez członków N.S.Z. i O.P.W. powiedzonka, że „jeszcze po wojnie Polacy postawią pomnik Hitlerowi za to, że uwolnił Polskę od Żydów”, a mniej ostrożni mężowie zaufania N.S.Z. na terenie t.zw. „Generalnej Gubernii” niejednokrotnie przy werbunku nowych członków przedstawiali kandydatom ogrom zadań „patriotów polskich”, którzy „muszą przygotować się do krwawej rozprawy najpierw z Niemcami, później z Żydami i bolszewikami, wreszcie z socjalistami i masonerią”. (Słowa męża zaufania N.S.Z. w Ostrowcu Kieleckim na wiosnę 1941 roku).

ZA SŁOWAMI słyż czyni — w zmienionej kolejności. N.S.Z.-owcy zamordowali w Warszawie ukrywającego się przed Niemcami wybitnego polskiego historyka, profesora Uniwersytetu Warszawskiego Marcelo Handlmana — za niearyjskie pochodzenie. N.S.Z.-owcy zamordowali jednego z przywódców Stronnictwa Demokratycznego, docenta Jerzego Makowieckiego — za lewicowe przekonania. N.S.Z.-owcy strzelali z ukrycia do członków P.P.S. (W.R.N.) w gminie Częstocice. N.S.Z.-owcy zadenuncjowali do Gestapo kilkunastu członków W.R.N. w Cmielowie, z których kilku, m.in. świątły i prawy działacz robotniczy *Nyderek*, zostało w następstwie rozstrzelanych. N.S.Z.-owcy zaszytyletowali pod Opatem lekarza pełniącego ciężką i odpowiedzialną służbę w oddziałach partyzanckich A.K., ponieważ był Żydem.

Wymieniłem kilka faktów, z którymi zetknąłem się sam bezpośrednio lub do których istnieją dokumenty, stwierdzające ponad wszelką wątpliwość przynależność morderców do N.S.Z. Nie wymieniłem wszystkich faktów. *Widziałem* więcej. Ale Ty i tak wiesz, że mordów tych było więcej. Wiesz o Żydach zabitych w polskich lasach przez „partyzantów polskich” na podstawie ohydnej „wizji lokalnej”, obdartych po śmierci nie tylko z pieniędzy i czasem posiadanych kosztowności, lecz nawet z odzienia, zawleczonych w zarośla i pozostawionych bez pogrzebu. Wiesz o działaczach chłopskich i robotniczych, skrytobójczo zamordowanych po opłotkach wsi i miasteczek polskich, ofiarach N.S.Z.-owskich *samosądów*.

Wiesz o tym, Leonardzie, lecz twierdzisz, że były to „wybryki nieodpowiedzialnych jednostek o zbrodniczych instynktach”, hien, które wkraśniały się nie tylko do N.S.Z., lecz również do A.K. i wszędzie tam, gdzie walka o najszczytniejsze ideały z konieczności przybierała brutalne, nieludzkie formy, w których jakże łatwo było mniej odpornym zagubić poczucie prawa i zapomnieć o podstawowych zasadach moralnych współżycia między ludźmi.

NIE PRZECZE. Jednakże pomijając nawet nieistotną z mego punktu widzenia okoliczność, że w Armii Krajowej takie — jak je zbyt delikatnie określasz — „wybryki nieodpowiedzialnych jednostek” zdarzały się bardzo rzadko, co mógłbyś przypisać tylko większej dyscyplinie żołnierskiej, przypominam Ci z naciskiem, że w Armii Krajowej każdy stwierdzony fakt czy to zabójstwa bez prawomocnego wyroku, czy grabieży, czy tylko pośredniego świadomego przyczynienia się do śmierci obywatela polskiego jakiegokolwiek narodowości czy wyznania — karany był z całą surowością prawa wojennego. Nie tylko za mordowanie, lecz za denuncjowanie Żydów, nawet podyktowane lękiem przed odpowiedzialnością — w każdym udowodnionym wypadku wydawany był wyrok śmierci, publikowany z motywami w podziemnej prasie i wykonywany. Sam występowałem w styczniu 1943 roku jako audytor w sprawie, w której specjalny sąd wojskowy uznał za wystarczające do wydania wyroku śmierci na żołnierza Armii Krajowej udowodnienie mu *jednej próby szantażu* w stosunku do ukrywającego się Żyda.

Czy potrafisz Ty, lub czy potrafi ktokolwiek wskazać choćby jeden wypadek podjęcia do odpowiedzialności członka N.S.Z. za wiadome jego przełożonym mordy? Jeśli nie wszyscy przywódcy N.S.Z. pochwalali je, to w każdym razie żaden i w żadnej formie ani wtedy, ani do dziś dnia *nie zdobył się na ich publiczne potępienie*. Nie ma ani jednego wyroku, wydanego przez jakąkolwiek instancję N.S.Z. za te zbrodnie.

KTÓŚ mógłby przypuścić, że władze N.S.Z. nie wiedziały o niczym, lub nie czuły się uprawnione do wyrokowania, skoro w Polsce Podziemnej działały tajne sądy państwowe. Nieprawda! Władze N.S.Z. *uzurpowały sobie wszelkie uprawnienia władzy państwowej*: awansowały oficerów i szeregowych, hojnie szafowały „w imieniu Rzeczypospolitej” najwyższymi odznaczeniami bojowymi, wydawały wyroki. Ogłosiły przecież w 1944 roku wyrok śmierci na wyższego oficera ze swego sztabu za... podporządkowanie się rozkazom scaleniowym Naczelnego Wodza i Komendanta Głównego Sił Zbrojnych w Kraju.

A „nieświadomość”? Wybitny przywódca obozu nacjonalistycznego zapytany, czy wiadomo mu, że w Polsce pod okupacją niemiecką jego podwładni z N.S.Z. mordowali członków PPS, odpowiedział: „Zapewniam panów, że fakty takie mogły mieć miejsce tylko przez nieporozumienie w stosunku do tych socjalistów, co do których istniały przypuszczenia, że są komunistami”.

Ow działacz „narodowy” nie zdawał sobie zupełnie sprawy z *bezgranicznego cynizmu takiej wypowiedzi*. Poprostu nie przenikało do jego świadomości, że zabijanie za przekonania komunistyczne lub za przynależność do partii komunistycznej dla każdego uczciwego człowieka w dwudziestym stuleciu jest taką samą zbrodnią, jak zabijanie za „niearyjskie pochodzenie” lub za wyznawanie innej wiary, taką samą zbrodnią, jak zabijanie przeciwników politycznych przez komunistów. Nawet najformalniejszy wyrok śmierci za samo należenie do wrogiego ugrupowania politycznego lub przewodzenie jemu — w całym kulturalnym świecie nazywany jest już teraz mordem sądowym. (Ostatnio b.minister Eden w parlamencie brytyjskim słusznie użył tego terminu, mówiąc o straceniu Petkowa). Nie mogą bowiem istnieć dwie moralności: jedna dla mnie, druga dla przeciwnika. Zabijanie bez sądu nawet winnego — zawsze jest *samosądem*, a dopuszczenie prawa do zabijania bez wyroku na podstawie subiektywnych „przypuszczeń” — jest przejawem *zupelnej aberacji moralnej*.

WSIERPNIU 1943 roku, dowodząc plutonem bojowym W.R.N. w rejonie Skarżysko — Starachowice, na Olchowych Smugach w lasach Siekierzyńskich zetknąłem się z oddziałem leśnym N.S.Z., dowodzonym przez por. „Grotę”. Był to jeden z pierwszych oddziałów partyzanckich, które działały w centralnej Polsce. Gdy wspaniały

“GORZKIE DNI” . . .

partyzant “Ponury” z ramienia Armii Krajowej porządkował lasy w tamtym rejonie, “Grot” ze swoim oddziałem pozornie mu się podporządkował. Po przeniesieniu “Ponurego” na Wileńszczyznę, gdzie poległ w stopniu majora, oddział “Grot” pozostał w ramach zgrupowania pod dowództwem por. “Nurta”. W jesieni 1943 roku, wkrótce po naszym spotkaniu wyszło na jaw, że “Grot” działał na podstawie swoistej koncesji, udzielonej mu przez Gestapo. Wyłapywał w lasach Żydów, szcherzył t.zw. “szaszkwoców” (od pseudonimu dowódcy dywersyjnego oddziału sowieckiego, Saszy), donosił Niemcom o ruchach oddziałów A.K. Walkę przeciwko niemieckiemu okupantowi “markował”, posyłając czasem swoich chłopców na “likwidację” jakiegoś Niemca . . . niewygodnego dla Gestapo i “podrzucanego” mu do likwidacji. Tej obustronnej korzystnej współpracy z Niemcami nie zerwał po wejściu w skład zgrupowania. Z wyroku sądu polowego został zastrzelony.

Przykład por. “Grot” jest naturalnie przykładem krańcowym. Nie przytaczalibyśmy go, gdyby nie fakt, że z podobnych oddziałów N.S.Z. w znanym mi rejonie partyzanckim sformowana została “Brygada Świętokrzyska”, która już w 1944 roku przeszła do niemal jawnego współdziałania z Niemcami, posyłała instruktorów “na naukę” do niemieckich ośrodków szkoleniowych, a w początkach 1945 roku *spokojnie i bezpiecznie* przemarszowała w Sudety. Formalnie głosząca zasadę walki przeciwko Niemcom, jako pierwszego i głównego celu N.S.Z., została przez “Brygadę Świętokrzyską” jawnie pogwałcona, a Narodowe Siły Zbrojne jako całość nie tylko nie odzęgnęły się od tej formacji, lecz były z niej dumne i z jej dowódcami długo jeszcze po ustaniu działań wojennych ściśle współdziałały.

NIE, NIE potrafię ustalić żadnej zasadniczej różnicy pomiędzy hitlerowskimi S.S., S.A. czy “Werwolfem”, ukraińskimi oddziałami “S.S. Galizien” czy szturmówkami Bandery, polską “Brygadą Świętokrzyską”, chorwacką “Ustaszą” czy hiszpańską “Falangą”. Różnica pomiędzy mordercami Matteottiego, Ossietzkiego, Niedziałkowskiego i Rataja, Handelsmana i Makowieckiego, Altera i Erlicha, Michajłowicza i Petkowa polega — czemu dałem wyraz w zakwestionowanym przez Ciebie zdaniu — tylko na tym, *któ* zabija, *któ* stosuje przemoc człowieka nad człowiekiem. Nie wolno nam chyba w naszym poczuciu prawa i sprawiedliwości zagubić się tak dalece, aby uniewinniać i rozgrzeszać mordercę tylko dlatego, że jest jedną z nami narodowości, albo że kto inny popełnił więcej mordów.

Nie masz na to przeciwargumentu, Leonardzie! Jesteś jednakże oburzony, że publicznie poruszam te posępne sprawy. Uważasz, że daję broń do ręki naszym wspólnym wrogom. I o tym myślałem, zanim zdecydowałem się na ogłoszenie tego listu do Ciebie. Rozważyłem wszystkie “za” i “przeciw” w aspekcie moralnym i politycznym. *Doszedłem do przekonania, że konieczne jest przełamanie tej niesamowitej “zmowy milczenia” dokola sprawy N.S.Z., którą przypisać mogą tylko umiejętnie zastosowanemu przez polską prawicę szantażowi najfałszywiej interpretowanej “solidarności narodowej” i skwapliwemu zacieraniu rzeczywistej historii najnowszej przez ludzi, którym prawdę o Polsce przesłoniły zasłony dymne antysowieckości, mającej rzekomo zdolność zmywania wszystkich przewin.*

Poddanie się temu szantażowi przez polską emigrację polityczną oznaczałoby jej ideowe rozbrojenie, spowodowałoby ją na manowce sojuszu z faszystwem. Ciężar walki o wolność Polski i o wolność w Polsce dźwigają masy pracujące Polski. Dla nich zwycięstwo faszystwu w jakiegokolwiek postaci nie oznaczałoby zmiany na lepsze. Byłyby podobnie pozbawione wolności jak są jej pozbawione obecnie, ich przywódcy podobnie zapelnialiby więzienia. Dla polskich mas robotniczych i chłopskich w ich trudnej i twardej walce o Wolność — Równość — Niepodległość rodzimi faszyci z pod znaku N.S.Z. nie są i nigdy nie będą sojusznikami tak samo jak nie jest nim i nigdy nie będzie żaden gen. Franco, choćby posiadał największe zasoby i najliczniejszą armię.

Patriotyzm głoszący, że “lepszy złodziej Polak, niż najuczciwszy Niemiec, Żyd czy Ukraińiec” (ileż razy przed wojną takie zdania padały na zebraniach O.N.R.-u na łódzkiej Chojnach i warszawskich Szmulowiznie!) — jest mi zupełnie obcy, Leonardzie. *Nie znajduję w sobie żadnego poczucia solidarności narodowej ani z agentami Radkiewicza, ani ze zwalczanymi dziś przez nich N.S.Z.-owcami.*

Wacław ZAGÓRSKI.

W nrze 3-4 miesięcznika “*Plomienie*”, organu Komitetu Wykonawczego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (ZNMS), ukazał się artykuł p.t. “*Gorzkie dni — Wspomnienia ZNMS-owca*”. Kazimierz Dębnicki — autor artykułu — dzieli się z czytelnikami wspomnieniami, obejmującymi ostatnie lata przedwojenne, przyczem bardziej szczegółowo opisuje rozwiązanie ZNMS przez władze policyjne, które miało miejsce wiosną 1938 r.

Artykuł ten stanowi jedynie drobny fragment w dziele *pisanego na nowo polskiej historii politycznej*, a szczególnie historii ruchu socjalistycznego, jakie ma obecnie miejsce w Polsce. A że w kropli wody odbija się świat, więc warto na tym przykładzie przyrzeć się dokładniej zarówno linii przewodniej, jak i użytym metodom.

Czytelnik nie znający prawdy o ZNMS, po przeczytaniu artykułu Dębnickiego dojdzie do przekonania, że ZNMS który jako organizacja ogólnokrajowa został założony równo 25 lat temu, powstał wcale nie po, by na odcinku akademickim przeciwstawiać się reakcji i walczyć o socjalizm, lecz że celem jedynym i wyłącznym ZNMS było: dokuczanie Centralnemu Komitetowi Wykonawczemu (CKW) PPS.

Oczywiście, nie zawsze poglądy ZNMS pokrywały się z poglądami CKW. Nie było w tem nic dziwnego ani dramatycznego, ponieważ szeroki wachlarz poglądów w oparciu o wspólne zasady był elementem zasadniczym demokratycznego ruchu socjalistycznego, który zdecydowanie odrzucał teorię i praktykę “linii generalnej”.

Dębnicki pisze z dumą:

“ZNMS współpracujący z komunistami, ZNMS orędownik ‘frontu ludowego’, ZNMS przybierający w latach 1936-7-8 na siłach i oddziaływujący silnie na Organizację Młodzieży PPS — nie był przyjemnym zjawiskiem dla ówczesnego kierownictwa partii”.

Oczywiście autor dyskretnie pomija nietylko fakt, że współpraca ta miała miejsce jedynie w ostatnich latach i że do r. 1934 komuniści uważali takich jak Dębnicki za “*socjal-faszystów*”. Autor nietylko milczy na temat trudności tej współpracy i lojalności komunistycznych kontrahentów, ale nawet nie próbuje podać praktycznych przejawów stosunku władz partyjnych do jednolitego i demokratycznego frontu na terenie akademickim. Widocznie nie bardzo wygodnie pisać o tem, że CKW nietylko wiedział, ale i akceptował konieczność istnienia jak najszerzego frontu demokratycznego na terenie akademickim, który w Polsce przedwojennej był bastionem skrajnej reakcji, oraz że nawet przy połączeniu wszystkich sił lewicowych stanowiących na tym terenie skromną mniejszość i przy wystąpieniach na zewnątrz bardzo często korzystaliśmy z pomocy partyjnych organizacji PPS. Nie ma słowa o tem, że organ tego bojowego frontu — jednolitego i ludowego — “*Akademik Socjalista*”, wydawany był . . . jako dodatek do “*Robotnika*”, że komitet redakcyjny (zaliczający do swych członków także i komunistów) urzędował przy Wareckiej nr. 7 pod opiekunictwem skrzydłami CKW i że rachunki za nasze ulotki, drukowane w “*Robotniku*”, rzadko kiedy były przez nas płacone . . .

Natomiast pisze Dębnicki, że:

“Urządaliśmy zresztą później partii stałe kawały. I tak zorganizowaliśmy akademię ludowo-frontową, na której przemawiali wybitni działacze lewicy socjalistycznej, m. in. Wanda Wasilewska, komuniści, ludowcy i demokraci. Prasa endecka uznała to za montowanie szerokiego ‘folks-frontu’ przez PPS. Zaremba i Pużak — musieli się pewnie wówczas szeroko tłumaczyć”.

Pomińmy fakt, że sprowadzanie działalności ZNMS do “kawałów”, urządzanych CKW, jest nietylko nieprawdą, ale i ciężką obrazą dla ówczesnego zarządu ZNMS, którego większość członków zginęła w walce z okupantem. Stwierdźmy tylko, że Dębnicki spekuluje na temat: przed kim i dla czego “Zaremba i Pużak musieli się szeroko tłumaczyć”? natomiast nie podaje faktów dobrze mu znanych. Oto one: Akademia, o której mowa, była wspólnym wystąpieniem PPS, Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Przemawiali: Mieczysław Niedziałkowski, Wanda Wasilewska, Irena Kosmowska, Zygmunt Graliński, prof. Michałowicz i pułk. Januariusz Grzędziński (komunistów nie było, chyba że reprezentowała ich Wasilewska?) Akademia została zorganizowana przy ścisłej współpracy z PPS, od której otrzymaliśmy lokal i która wydała ulotki i afisze. O udział w akademii zwróciliśmy się do tow. Pużaka, który nie mogąc akurat wówczas przemawiać, skierował nas do tow. Niedziałkowskiego. Licząc się z atakiem bojówek ONR-owskich, zwróciliśmy

się o pomoc do tow. Dziegielewskiego, który wraz z silnym oddziałem Akcji Socjalistycznej (A.S.) czuwał nad bezpieczeństwem akademii.

Wiosną 1938 r. władze rządowe rozwiązały ZNMS. Po opisie przebiegu rewizji i opieczetowania lokalu. Dębnicki podaje: “*Pierwsze nasze kroki następnego dnia skierowaliśmy na Warecką*”, a dalej:

“O ile sobie przypominam Pużak nie chciał z nami tego dnia wogóle gadać a Mek (Mieczysław Niedziałkowski) rozkładał ręce, dając do zrozumienia, jak i zresztą Czapiński, że decyzja spoczywa w rękach nietylko redaktora naczelnego ‘Robotnika’, ale jego sąsiada, redaktora ‘Dziennika Ludowego’, pana Zygmunta”.

I znów ta sama metoda: fakty podane — “poprawiono”, a niewygodne — przemilczano. Więc *nieprawdą* jest, że “Pużak nie chciał z nami tego dnia wogóle gadać”, natomiast prawdą jest, że zostaliśmy natychmiast przyjęci, że o “panu Zygmuncie” wogóle mowy nie było, że CKW zajął się energicznie sprawą ZNMS, że otrzymaliśmy oficjalnych obrońców z ramienia partii w osobach tow. Stanisława Benkla i Tadeusza Tomaszewskiego, że wszczęta sprawa sądowa została umorzona, natomiast nie udało się uchylić decyzji władz delegalizującej ZNMS. I wówczas właśnie stosunek tow. Pużaka do ZNMS przejawiał się w całej pełni. Przy jego aktywnym poparciu, CKW przyjął naszą propozycję, by ZNMS zastąpić Sekcją Akademicką PPS. Zarząd rozwiązanego ZNMS ukonstytuował się, bez żadnych przesunięć personalnych jako zarząd nowej Sekcji a dotychczasowa linia polityczna została utrzymana bez najmniejszych zmian. Mimo trudności lokalowych, z jakimi borykała się PPS, otrzymaliśmy do wspólnego użytkowania lokal dzielnicy PPS Śródmieście; tem samym Warecka 7 była nadal miejscem zbiorów nietylko ZNMSowców, ale wszystkiego, co było lewicowe na terenie akademickim. Dzięki tej postawie CKW, rozwiązanie ZNMS *de facto* spaliło na panewce.

Socjalizm sprowadza się nietylko do zagadnień gospodarczych i politycznych, *ale posiada również aspekt moralny*.

Ciężkie było życie akademika-socjalisty w Polsce “sanacyjnej”. W walce z reakcją mieliśmy zawsze przeciw sobie również i aparat państwowy, który nietylko reakcję tolerował, ale co więcej — czynnie popierał. Aresztowania, rewizje, konfiskaty, mniejsze i większe szykany były stałe na porządku dziennym i zawsze w takich wypadkach pierwsze kroki o pomoc kierowaliśmy do tow. Pużaka, sekretarza generalnego PPS. Czynniliśmy to nawet wówczas gdy ofiarami naszych akcyj padali nietylko członkowie ZNMS, ale i demokraci lub komuniści. Nieraz interwencje u władz rządowych pozostawały bez rezultatu, ale zawsze ze strony władz partyjnych PPS była dobra wola i próba pomocy.

Dziś tow. Pużak i wielu innych socjalistów polskich siedzi w więzieniu. Jutro mają stanąć przed sądem, oskarżeni o . . . szpiegostwo, spisek, działanie na szkodę państwa itd. Całość zainscenizowana i wyreżyserowana przez “Bezpiekę”, w oparciu o znane i wypróbowane wzory. I właśnie w tym momencie Dębnicki i jemu podobni, zamiast stanąć odważnie i zdecydowanie w obronie oskarżonych — *wolą obrażać ich błotem*. Zamiast demaskować fałszywe i kłamstwa aktu oskarżenia — szkalują własnych towarzyszy, od których w swoim czasie otrzymywali pomoc i opiekę, gdy sami bywali gnębieni. Zamiast w imię najelementarniejszych zasad socjalistycznych wypowiedzieć nieubłaganą walkę prowokacyjnym i inkwizytorskim metodom “Bezpieki” — skrzętnie “poprawiają” historję na użytek tych, którzy zasady te konsekwentnie tępią. Jest to objaw *nowej moralności*, która rzuca tak ponure światło na współczesną polską rzeczywistość. Tak, to są naprawdę gorzkie dni. . . .

Szereg socjalistów, a wśród nich niektórzy byli ZNMSowcy, są dzisiaj wysokimi dygnitarzami w Polsce. Dla nich widocznie walka się skończyła. Ale dla ZNMS — który był i pozostał częścią składową polskiego ruchu socjalistycznego, *walka o socjalizm w Polsce ciągle trwa*.

Z. N. M. S.-owiec.

KOMUNIKAT.

Otrzymałmy następujący komunikat, z prośbą o umieszczenie: Komitet Zagraniczny Polskiego Stronnictwa Demokratycznego w Londynie powołał w dniu 11 sierpnia br. uchwałę następującej treści: Zważywszy, że działalność p. Tytusa Filipowicza, zwłaszcza w ostatnim okresie, była sprzeczna nietylko z dyscypliną partyjną lecz nadto z ideologią Polskiego Stronnictwa Demokratycznego — Komitet Zagraniczny PSD postanawia po myśli art. 26 a statutu Organizacji skreślić p. Tytusa Filipowicza z listy członków.

